

Ewa wzywa 07...



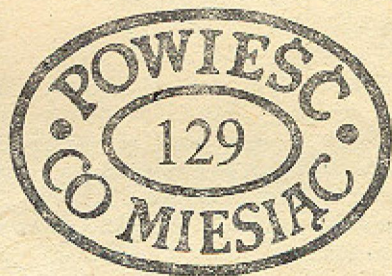
Albert Wojt
**PAN DYREKTOR
JEST ZAJĘTY**



ISKRY

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Albert Wojt
PAN DYREKTOR JEST ZAJĘTY



Zofia Zdrojecka z uczuciem wyraźnego zawodu zamknęła przejrzaną kolejny już dzisiaj raz „Burdę” i schowała ją do szuflady niewielkiego biurka. Kilka sukienek wyglądało nawet dość zachęcająco na kolorowych ilustracjach, ale dziewczyna nie znalazła w magazynie żadnej kreacji, która szczególnie przypadłaby jej do gustu. Odruchowo zerknęła na zegarek. Dochodziła właśnie piętnasta, do końca urzędowania pozostało więc jeszcze nieco ponad pół godziny. Oczywiście pod warunkiem, że szef zechce w miarę punktualnie wybrać się do domu, na co, niestety, nie nie wskazywało.

Znudzonym spojrzeniem obrzuciła obszerny sekretariat. Prawdę powiedziawszy zarówno dyrektor naczelny, jak i jego pierwszy zastępca potrafiliby zadbać, by pomieszczenie, przez które wchodziło się do ich gabinetów, miało reprezentacyjny charakter. Pokryte bukową boazerią ściany, wielki wzorzysty dywan i trzy wykonane na specjalne zamówienie regały z masą fachowych wydawnictw na osłoniętych szkle półkach mogły każdego przekonać, że Zakłady Elektrotechniczne to firma licząca się nie tylko w Warszawie.

Sekretarka sięgnęła do torebki po puderniczkę. Uważnie przejrzała się w lusterku. Stwierdziła nie bez zadowolenia, że makijaż nie wymaga korekty, a i długie, miedzianorude włosy układają się zupełnie jak wczoraj, kiedy opuszczała zaprzyjaźniony salon fryzjerski. Inna rzecz, że ładnej, dwudziestokilkuletniej dziewczynie nietrudno było zadbać o atrakcyjny wygląd.

Chowała właśnie puderniczkę, kiedy jeden ze stojących na biurku telefonów rozdzwonił się hałaśliwie. Bez pośpiechu podniosła słuchawkę.

— Zakłady Elektrotechniczne, sekretariat dyrektora naczelnego — rzuciła uprzejmie, choć z lekką urzędowo. — Ach, to pan, panie Edku! — dodała już mniej oficjalnie, prawie natychmiast rozpoznając rozmówcę. — Niestety, teraz nie mogę pana połączyć. Pan dyrektor jest bardzo

zajęty... Nie wiem, ile to potrwa... Dobrze, niech pan zadzwoni później...

Tłumiąc ziewanie odłożyła słuchawkę. Przez chwilę wahała się, czy nie sięgnąć ponownie po „Burdę”, ale nagle skrzypnęły drzwi z korytarza i w progu stanął kierownik działu kontroli wewnętrznej Stefan Borodziej. Był to przystojny, choć niezbyt wysoki blondyn koło czterdziestki, o krótko przystrzyżonych włosach i niewielkiej, starannie utrzymanej brodzie. Jak zwykle miał na sobie dobrze skrojony, jasny garnitur, a pod pachą trzymał nieodłączną aktówkę.

— Co słyhać, Zosieńko? — uśmiechnął się do sekretarki. — Dyrektor Czubacki u siebie?

— Siedzi u naczelnego — odparła odwzajemniając uśmiech.

— Dawno?

— Już chyba ze trzy godziny.

— Ciekawe, nad czym tak deliberują?

— To ty, Stefan, nie nie wiesz? — konfidencjonalnie ściszyła głos, dając znak Borodziejowi, by podszedł bliżej. — Koło południa przyjechali do dyrektora Krzepika jacyś dwaj ze zjednoczenia. Naczelny kazał poprosić Czubackiego i od tej pory żaden z nich nie wyściubił nosa z gabinetu.

— Co się mogło stać?

— Nie mam pojęcia — bezradnie rozłożyła ręce, wypadło to jednak jakoś mało przekonująco. — Dwa razy nosiłam im kawę, ale niestety nie udało mi się podłuszczać...

— Nie cygań! — Borodziej z niedowierzaniem pokręcił głową. — Kto jak kto, ale ty, Zosiu, zawsze potrafisz wyczuć każdą nowinę na kilometr!

— Nie tym razem.

— Ależ kochanie... — nachylił się, z teatralną żarliwością całując Zdrojecką w rękę. — Chyba mnie możesz zaufać?

— Kiedy ty zaraz wszystko wypaplesz.

— Bóg mi świadkiem, że pary z gęby nie puszcze!

— Słowo?

— Mur!

— Więc słuchaj! — wstała zza biurka i chwyciwszy Borodzicza za guzik od marynarki przyciągnęła go ku sobie. — Na widok tamtych dwóch ze zjednoczenia naczelny zrobił się błąd jak ściana, a później kawę zamawiał nie on, tylko Czubacki.

— Naprawdę?

— Uhm...

— Czyżby starego... — Borodzicz uśmiechnął się drwiąco, wykonując gest, jak gdyby dawał komuś klapsa.

— Niewykluczone...

Dziewczyna najwyraźniej miała zamiar jeszcze coś dorzucić, ale spostrzegłszy otwierające się niespodziewanie drzwi do gabinetu dyrektora naczelnego niemal odruchowo odskoczyła od Borodzicza. Do sekretariatu wkroczył wysoki, szczupły mężczyzna koło pięćdziesiątki, w dużych, przyciemnianych okularach. Sprawiał wrażenie bardzo z siebie zadowolonego i raz po raz gładził się po pokaźnej łysinie.

— Pani pozwoli jeszcze kawusi, panno Zosieńko — poprosił z uśmiechem Zdrojecką. — Trzy szatany, a dla mnie odrobinę słabszą...

— Już parzę, panie dyrektorze!

— I jeszcze jedno — głos dyrektora zabrzmiał bardziej urzędowo. — Proszę odwołać jutrzejsze spotkania dyrektora Krzepika i zawiadomić naszą kadrę kierowniczą, że o dziesiątej będzie odprawa.

— W gabinecie pana dyrektora?

— U mnie jest trochę ciasno. Lepiej niech się zbiorą w sali konferencyjnej.

— Rozumiem.

— To by było na razie wszystko.

— Panie dyrektorze! — sekretarka nieśmiało, jak gdyby z wahaniem zrobiła krok w kierunku Czubackiego. — Czy można panu pogratulować?

— Na gratulacje przyjdzie czas, kiedy wyciągnę przedsiębiorstwo z bagna, w które pomimo moich protestów zostało wpakowane! — zagrzmiał dyrektor z emfazą, wskazując znacząco drzwi gabinetu Krzepika.

— Załoga pana nie zawiedzie! — pośpiesznie zapewnił Borodzicz. — W każdym razie ja dołożę wszelkich starań...

— Oczywiście, panie kolego, oczywiście! — niecierpliwie przytaknął Czubacki. — Wszyscy dołożymy starań — dodał sloganowo.

— Korzystając z okazji chciałbym coś pokazać

panu dyrektorowi — kierownik kontroli wewnętrznej skwapliwie wyciągnął z aktówki kilka spiętych spinaczem dokumentów. — Rozumiem, że pan dyrektor jest teraz bardzo zajęty, a ja tak nie w porę, sprawa jednak wydaje mi się ważna...

— Co to ma być? — Czubacki skrzywił się niechętnie. — Jakaś faktura? Odmowa akceptu...?

— Na fakturze figuruje podpis dyrektora Krzepika, ale zważywszy, że wystawiający dokument magazynier Marecki podlegał bezpośrednio panu dyrektorowi, pomyślałem...

— Wierźnie to samo! — Czubacki przerwał Borodziczowi, gniewnie podnosząc głos. — Kolega Krzepik bez porozumienia ze mną podejmuje jakieś bzdurne decyzje, a ja muszę je później odkręcać. Ale dosyć tego dobrego! — buńczucznie potrząsnął pięścią. — Jutro z samego rana proszę wszystko wyjaśnić z dyrektorem Krzepikiem. Jeśli faktycznie coś nie gra, niech sam się martwi, jak mi sprawę przekazać przed swoim oficjalnym odejściem!

Nie czekając na odpowiedź Czubacki odwrócił się na pięcie i zniknął za drzwiami gabinetu dyrektora naczelnego. Zaskoczony takim obrotem rzeczy kierownik kontroli wewnętrznej jeszcze przez dłuższą chwilę z niezbyt mądrą miną spoglądał na trzymane w ręku dokumenty. Dopiero cichy śmiech sekretarki skłonił Borodzicza do schowania ich z powrotem do aktówki.

— Nowy szef dał ci kosza — nie bez ironii zauważyła dziewczyna. — Ale nie martw się, Stefan! — dodała pocieszająco. — Takie jest życie...

— Pies z nim tańcował! — odburknął ze złością. — Przed pożegnaniem z Krzepikiem mógł mieć na niego jeszcze jednego haka, skoro jednak jasnie pan nawet nie raczy zajrzeć do dokumentów...

— Trzeba było przyjść z nimi przed miesiącem... A zresztą sam słyszałeś, jak się wydzierał. Trzymam zakład, że ci faceti ze zjednoczenia nie uronili ani jednego słowa z tyrały naszego nowego naczelnego.

— Zostawmy to! — zbagatelizował sprawę Borodzicz. — Wiesz, mam pomysł — zmienił temat. — Może wypuścilibyśmy się gdzieś dziś wieczorem?

— Nie żartuj!

— Mówię całkiem serio...

— Przecież dobrze wiesz, że niedługo wychodzę za Winnickiego, a on jest okropnie zazdrosny,

— Rysiek nie musi o niczym wiedzieć, a my zabawilibyśmy się jak dawniej...

— Wykluczona!

— Zosićko — bez skrepowania objął sekretarkę i na poły żartobliwie cmoknął ją w policzek. — Nie udawaj, że jesteś taka święta!

— Uspokój się, wariacie! — fuknęła ze złością. — Jeszcze ktoś wejdzie...

Nie zrażony protestem chciał już ponownie pocałować Zdrojecką, kiedy jak gdyby na potwierdzenie jej obaw otworzyły się drzwi z korytarza. Spłoszony Borodziej puścił dziewczynę, zerkając niepewnie na stojącego w progu barczystego, dwadzieścikilkuletniego mężczyznę w wytartych dżinsach i skórzanej kurtce. Winnicki zmcił w ustach jakieś przekleństwo i gniewnie zmarszczywszy brwi ruszył ku tamtemu.

— Czołem, Rysiul — wymamrotał Borodziej niezbyt składnie. — Co słychać?

Przybyły z nicpohamowaną furią chwycił kierownika za kłapy marynarki i potrząsnął nim jak zabawka.

— Tyle razy mówiłem, żebyś odwalił się od Zosi! — syknął przez zaciśnięte zęby. — Koniecznie chcesz, żebym ci w końcu gnaty poprzetrzącał?!

— Ależ Rysiek! — Borodziej usiłował cofnąć się przed naporem Winnickiego. — Co tobie? Przecież ja jej nawet palcem...

— Już ja wiem, co ty kombinujesz! — narzeczony Zdrojeckiej bezceremonialnie popchnął kierownika w kierunku ścian. — Zbyt dobrze cię poznałem, żebym się dał zrobić w końia!

— Dajcie spokój! — wtręciła się sekretarka. — Nie macie już gdzie urządzać awantur?!

Winnicki puścił Borodzieja.

— Z tobą też powinienem porozmawiać poważnie — warknął, odwracając się z nie wróżącą nic dobrego miną do dziewczyny. — Obiecałem zapomnieć o twojej przeszłości, ale pamiętaj, że nie życzę sobie, żebyś zadawała się z byłym gachem!

— Jesteś przewrażliwiony...

— Tylko nie odwracaj kota ogonem! Kiedy przyważyłem tego drania, jak popylal do sekretariatu, od razu mi zaświtało, czego tu szuka...

Winnicki miał zamiar dorzucić jeszcze kilka cierpkich uwag pod adresem narzeczony i Borodzieja, powstrzymało go jednak ciche pukanie. Chwilę później do sekretariatu wsunął się szczupły, bladej mężczyzna w szarym, mocno zniszczonym swetrze i wygniecionych spodniach.

— Bardzo przepraszam, pani Zosiu, że zawracam głowę — zaczął nieśmiało. — A właściwie, to może lepiej wpaść jutro... — dodał, spostrzegszy wzburzenie obcych.

— Już pana puścili? — bąknęła sekretarka z nie tajonym zaskoczeniem.

— Owszem i pomyślałem sobie, że warto byłoby wrócić tutaj do pracy...

— Rozmawiał pan z kadrową, panie Waldka?

— Podobno nie może mnie przyjąć bez decyzji pana dyrektora.

— Szef teraz zajęty, a zresztą od jutra będziemy mieli nowego.

— To chyba nawet dla mnie lepiej — Cieciewicz uśmiechnął się nieporadnie. — Gdyby zechciała pani zapisać mnie na rozmowę...

— Oczywiście, panie Waldku, nie wiem tylko, czy szef...

Z głośnym trzaskiem otworzyły się drzwi gabinetu dyrektora naczelnego i stanął w nich wyraźnie już zniecierpliwiony Czubański.

— Co jest z tą kawą, pani Zosiu?! — rzucił ostro. — Ile, u diabła, można czekać?!

II

— Pośpiesz się pan, panie Grudek! — niewysoką, drobną, blisko siedemdziesięcioletnią sprzątaczką o pomarszczonej twarzy, ze sporym wiaderem, z którego wystawał kij od szczotki, energicznie ciągnęła za rękaw tegoż mężczyzny w roboczym kombinezonie. — Zaraz ósma, a męska toaleta nie posprzątała!

— Wielka mi rzecz! — Grudek lekceważąc wrzucił ramionami, nawet nie spojrzawszy w stronę wiszącego w głębi korytarza zegara ściennego. — Nikomu korona by ze łba nie spadła, gdyby poszedł za potrzebą piętrowyżej.

— Bójże się pan Bogal! — sprzątaczką aż szcęknęła wiaderem ze szczerzego oburzenia. — Przecież tu obok siedzą wszystkie dyrektory!

— Co się pani przejmujesz — odparł ze stoickim spokojem. — Dyrektory mają własny szacz, bo im podobno nie honor sadzać tyki na wspólnym sedesie.

— W końcu zawsze to władza...

— Aleś pani niedzisiejsza, panie Baroniowa! —

Grudek roześmiał się hałaśliwie. — Jaka tam z nich władza...

— Mój złociutki! — proszącym gestem złożyła ręce. — Otwórz mi tę toaletę, bo jeszcze powiedzą, że nie chciało mi się sprzątać i umyślnie gdzieś klucz zapodziałam.

— Co ja mam z tą kobitą! — ustąpił, sięgając z ciężkim westchnieniem po stojącą na podłodze skrzynkę z narzędziami. — Bóg mi świadkiem, że robię to tylko dla pani... A swoją drogą, nie powinno się tego sraćza otwierać, dopóki nie wymienię rezerwuaru. Trzy dni temu przygotowałem sobie, co trzeba, i złożyłem w kąciuku. Przedwczoraj przychodzę z drabiną, żeby zabrać się do roboty i co widzę?! — teatralnym gestem podniósł wolną rękę do góry. — Jakaś cholera ukradła kolanko! I pomyślałby kto, że tu same inteligentne ludzic pracują...

Na korytarzu pojawiło się kilku śpieszących do swych pokoi pracowników biura Zakładów Elektrotechnicznych. Grudek obrzucił ich niechętnym spojrzeniem i mruknął coś jeszcze pod nosem ruszył wolnym krokiem w kierunku widniejących przy końcu korytarza drzwi z charakterystyczną tabliczką. Zadowolona z takiego obrotu rzeczy sprzątaczką podręptała za nim skwapliwie.

Chwilę później byli już na miejscu. Grudek sięgnął do skrzynki i wyciągnął z niej okazały pęk kluczy. Przez dobre kilka minut usiłował dopasować właściwy. Wreszcie zamek ustąpił. Grudek naciskał właśnie klamkę, kiedy za jego plecami zatrzymał się nie ogolony, przyszczoty chłopak. Mógł mieć najwyżej coś koło dwudziestki, a ubrany był w brudne sztruksowe spodnie i rozdarta na łokciu ortalionową kurtkę. Jego wygląd świadczył wymownie, że chłopak stosunkowo niedawno musiał wypić sporą dawkę alkoholu.

— Co to, szefuniu — wybełkotał — wlamujemy się do kibelka?

— Że też pan wstydu nie ma, panie Pręgoła! — Baroniowa potrząsnęła głową z nieklamany zgrozzeniem. — Od samiułkiego rana w pijanym widzie!

— Wypił człowiek kropelkę i zaraz taki krzyk — odparł tamten z urazą.

— Nie wiem, czy ta kropelka zmieściłaby się w półlitrowce — ironicznie zauważył Grudek. — Gorzała na kilometr od pana zajeżdża. Lepiej uważaj pan, żeby kadrowiec albo któryś z dyrektorów pana nie przyuważał.

— Teraz to oni mi mogą naskoczyć — Pręgoła

zgiął przedramię w ordynarnym geście. — Jeszcze bym im powiedział do słuchu!

Sprzątaczką pogardliwie wruszyła ramionami i otwarłszy drzwi ruszyła do toalety. Również i Grudek najwyraźniej nie miał ochoty na dalszą dyskusję z Pręgołą. Odwrócił się tyłem do chłopaka i schowawszy klucze do skrzynki z narzędziami chciał odejść, zaledwie jednak zdołał zrobić kilka kroków, osadził go na miejscu przeraźliwy krzyk Baroniowej.

III

Było już dobrze po godzinie ósmej, gdy porucznik Michał Mazurek dotarł wreszcie spóźniony do macierzystej Komendy Dzielnicowej MO. Niemal biegiem minął korytarz i chwilę później znalazł się w swoim pokoju. Teraz już bez pośpiechu zdjął płaszcz. Otworzył szafę pancerną i, wyciągnawszy z niej na chybił trafił akta jakiejś sprawy, niedbałym ruchem rzucił je na biurko. Z zadowoleniem zatarł ręce. Wyglądało na to, że nikt nie zauważył jego przybycia...

Siadając za stojącym przy oknie biurkiem skostatował, że temperatura w pokoju nie różni się zbytnio od panującej na dworze. Odruchowo dotknął ręką kaloryfera. Był lodowaty, co pod koniec listopada nie mogło budzić wesołych refleksji. Oficer zmełł w ustach przekleństwo i po krótkim wahaniu sięgnął do kieszeni po papierosa. Wiedział wprawdzie, że to go nie rozgrzeje, ale nic sensowniejszego nie przyszło mu jakoś do głowy.

Walczył właśnie z zapalkami, które mimo energicznego pocierania o draskę ani rusz nie chciały spełnić swej powinności, kiedy skrzypnęły drzwi i do pokoju wkroczył naczelnik Kłosiński. Jego mina nie wróżyła nic dobrego.

— Dobrze, Michał, że jesteś — zaczął bez żadnych wstępów. — Trzeba zaraz pojechać do Zakładów Elektrotechnicznych.

— Włamanie? — domyślił się Mazurek.

— Diabła tam! — westchnął major. — Przed kwadransem sprzątaczką znalazła w toalecie zwłoki niejakiego Stefana Borodzicza, kierownika działu kontroli wewnętrznej.

— Zawał czy też sprzykrzyła mu się egzystencja na naszym padole?

— Zobaczysz na miejscu — Kłosiński najwyraźniej sam niewiele wiedział. — Pozorski z ekipą techników i lekarz czekają w wozie...

Nie pytając o nic więcej porucznik sięgnął po płaszcz. Najbliższe godziny zapowiadały się pracowicie...

Niespełna dwa kwadranse później Mazurek w towarzystwie chorążego Pozorskiego, dwóch techników i lekarza przemierzał już korytarze biura Zakładów Elektrotechnicznych. Pod drzwiami męskiej toalety na pierwszym piętrze zebrał się spory tłumek podekscytowanych pracowników. Na widok przybyłych zebrani cofnęły się nieco, tak żeby ci mogli wejść do środka.

Widna, przestronna toaleta miała ściany wyłożone do połowy wysokości białą glazurą. Porucznik obrzucił przelotnym spojrzeniem trzy kabiny, rząd umywalk i leżący w kącie, przygotowany prawdopodobnie do wymiany rezerwuar wraz z wystającymi spod niego rurkami. Zwłoki dostrzegł w głębi toalety, dokładnie naprzeciwko wejścia. Już z daleka można było zauważyć na włosach denata i podłodze z drobnej terakoty wyraźne plamy krwi.

Pozorski wydał kilka poleceń technikom, po czym wraz z lekarzem pochylili się nad zwłokami. Chwilę później przy denacie przykleknął również oficer.

— Co o tym sądzicie? — zapytał, wskazując wymownie na pokrwawioną głowę Borodiczca.

— Definitywnie będę mógł się wypowiedzieć dopiero po sekcji — zaznaczył lekarz. — Chociaż z drugiej strony przypadek nie jest chyba zbyt skomplikowany...

— Innymi słowy zabójstwo?

— Obrażenia sugerowałyby, że denat otrzymał dwa silne ciosy w tył głowy. Użyto najprawdopodobniej jakiegoś tępego, dość wąskiego narzędzia.

— Na przykład rurki? — podpowiedział Mazurek.

— Niewykluczone — lekarz niemal odruchowo zerknął w kąt toalety, gdzie leżał rezerwuar i inne żelastwo.

— Na pierwszy rzut oka cała ta hydraulika nie wygląda zbyt podejrzanie — wtrącił się Pozorski — ale kto wie...

— Nawet jeśli nic nie stwierdzimy na miejscu, trzeba będzie odesłać cały ten majdan do naszego laboratorium — zdecydował porucznik. — Zabójca mógł się przecież postarać o zatarcie śla-

dów. A do pana mam jeszcze jedno pytanie — ponownie zwrócił się do lekarza.

— Słucham?

— Kiedy nastąpił zgon?

— W przybliżeniu jakieś piętnaście, do siedemnastu godzin temu.

— To znaczy wczoraj około szesnastej?

— Z godziną tolerancją w obie strony. Może po sekcji będę mógł stwierdzić to nieco dokładniej...

Oficer zdawkowo podziękował lekarzowi i zostawiając go z Pozorskim wyszedł z toalety. Czekający pod drzwiami tłumek pracowników zdążył się tymczasem znacznie przerzedzić. Zadowolony z takiego obrotu rzeczy Mazurek miał już zamiar wziąć na spytki pierwszego z brzegu ze zgromadzonych, gdy jego wzrok padł na stojącą kilka metrów dalej Baroniową. Kobieta opierała się ciężko o wystający z wiadra kij od szczołki i najwyraźniej musiała w dalszym ciągu pozostać pod wrażeniem swego niedawnego odkrycia, bo raz po raz pociągała żałośnie nosem. Porucznikowi przemknęła myśl, że właśnie od rozmowy ze sprzątaczką powinien rozpocząć przesłuchania. Nie wahając się dłużej podszedł do Baroniowej.

— To pani znalazła denata? — zagadnął łagodnie.

— Jezusie Nazareński! — kobieta na samo wspomnienie zaskroniła rękami twarz. — Co też mnie podkusiło, żeby tam wchodzić?! Takie nieszczęście... A jeszcze, nie daj Boże, będą teraz ciągać człowieka...

— Proszę się nie denerwować — rzucił uspokajająco. — Zadam pani tylko kilka pytań i po krzyku.

— Po co ja ciągnęłam Grudka, żeby te diabelne drzwi otwierał! — powtórzyła z uporem. — Kto inny znalazłby nieboszczyka i miałabym święty spokój...

— Toaleta była zamknięta?

— Co ja się wczoraj klucza naszukałam — sprzątaczką uspokoiła się nieco, skwapliwie przystępując do szczegółowej relacji. — Tyle lat tkwił sobie spokojnie w zamku i nikomu nie przeszkadzał, aż tu go nagle diabeł ogonem nakrył...

— O której spostrzegła pani brak klucza?

— Gdzieś w pół do piątej, a może dopiero przed piątą... Wszyscy już wyszli z biura i tylko dyrektorzy jeszcze o czymś ze sobą radzili.

— Nie słyszała pani jakichś podejrzanych hałasów?

— Pewno, że słyszałam! — Baroniowa konfi-

funkcjonalnie ściszyła głos, chwytając oficera za rękaw. — Aż się ściany trzęsły, kiedy pan Winnicki wykrzykiwał na pana Borodzicza.

— W toalecie? — Mazurek omal nie podskoczył z wrażeń.

— W jakiej znowu toalecie? — zaprzeczyła gwałtownie. — Awantura była w sekretariacie.

— Nie wie pani, o co poszło?

— Jak zwykle o tę zdziwę Zdrojecką — sprzątaczką wydeła wargi, jak gdyby chciała splunąć. — Za przeproszeniem wstyd i obraza boska, żeby tak za chłopami latać! Mało jej było dyrektora Krzepika i pana Borodzicza, to jeszcze i tego młodego sobie przysadala.

— Długo Winnicki kłócił się z Borodziczem?

— Niedługo. Nie zdążyłam nawet przetrzeć szyby w gablocie naprzeciwko dyrektorskich gabinetów, kiedy do sekretariatu wszedł pan Cicciewicz i tamci przestali krzyczeć.

— I co było dalej?

— Nic nie było. Wszyscy trzej zaraz gdzieś się wynieśli.

— Razem?

— Tego nie widziałam — odparła ze szczerym żalem. — Akurat skończył mi się denaturat i musiałam poszukać nowej butelki w składziku.

— I wszystko to miało miejsce koło siedemnastej, kiedy toaleta była już zamknięta?

— Co też pan, panie poruczniku! — stanowczo potrząsnęła głową. — Draka w sekretariacie była dobre półtorej godziny wcześniej!

Oficer obejrzał się przez ramię. Pod toaletą nie było nikogo, a ostatni spośród zebranych tam jeszcze przed chwilą pracowników zamykali właśnie za sobą drzwi od swoich pokojów. Widać perspektywa przesłuchania przez funkcjonariusza nie wydała się im zbyt zachęcająca.

Bez specjalnego pośpiechu ruszył w stronę sekretariatu. Miał zamiar zamienić kilka słów ze Zdrojecką, ale ta na widok Mazurka poderwała się zza biurka jak na sprężynie.

— Dyrektor Czubacki czeka na pana — powitała porucznika z niezbyt udolnie maskowaną nutką obawy, czy też raczej niechęci w głosie. — Proszę, może pan pozwoli do gabinetu...

Oficer nie oponował. Tak czy inaczej musiał dzisiaj odbyć rozmowę z dyrektorem zakładów, a do sekretarki mógł przecież zajrzeć i później.

Gabinet był widny, obszerny i elegancko urządzone. Ściany, podobnie jak w sekretariacie, pokrywała bukowa boazeria, na podłodze leżał drogi, importowany dywan, a nad biurkiem

wisiała duża reprodukcja jakiegoś obrazu Chłomońskiego w szerokich zdobionych ramach.

Czubacki wstał na powitanie Mazurka z za ciężkiego, stylowego biurka, wskazując przybytemu jeden z obitych skórą foteli przy stojącym pod ścianą, nie opodal sięgającej sufitu palmy, stoliku.

— Trudno sobie wyobrazić gorszy początek — zaczął ponuro, usiadłszy naprzeciwko porucznika. — Jeszcze nie zdążyłem się przyzwyczaić, że jestem dyrektorem naczelnym, a tu taka historia!

— Mam nadzieję, że wspólnym wysiłkiem szybko odnajdziemy zabójcę.

— Wspólnym wysiłkiem? — Czubacki sceptycznie potrząsnął głową. — Przecież ja jestem inżynierem i nie znam się na kryminalistyce.

— Ale z pewnością może pan wiele powiedzieć o Borodziczu, a to bardzo by mi ułatwiło zadanie.

— Muszę pana rozczarować — dyrektor rozłożył ręce bezradnym gestem. — Zmarły, jako kierownik komórki kontroli wewnętrznej, podlegał bezpośrednio koledze Krzepikowi. Ja miałem z nim do czynienia jedynie od przypadku do przypadku.

— Niemniej chyba zdołał pan sobie wyrobić opinię na jego temat? — nie dawał za wygraną oficer.

— Pracownikiem był zdyscyplinowanym, sumiennie wywiązywał się ze swoich obowiązków...

— Miał wrogów?

— A któż ich nie ma! Zwłaszcza na takim stanowisku...

— Komu przykładowo mogło zależeć na śmierci Borodzicza?

— Zbyt wiele pan ode mnie wymaga — Czubacki sięgnął do kieszeni po paczkę chesterfielków. — Widzi pan, co innego pracowniczce animozje, a co innego nienawiść, która mogłaby skłonić kogoś do zbrodni. W ciągu ostatnich kilku lat Borodzicz ujawnił wiele uchybień, czy wręcz nadużyć. Niejednego pracownika musieliśmy w związku z tym ukarać, kiedyś do akcji wkroczył nawet aparat ścigania, to jednak przecież nie powód do zabójstwa!

Dyrektor zachęcającym gestem podsunął papierosy funkcjonariuszowi. Mazurek przyjął poczęstunek bez ociągania i obaj zapalili. Porucznik kilka razy zaciągnął się dymem. Informacje uzyskane dotychczas od Czubackiego nie były zbyt konkretne, postanowił więc spróbować z innej beczki.

— Z kum się Borodzicz przyjaźnił? — zapytał niby mimochodem. — Kto, pańskim zdaniem, mógłby mi powiedzieć coś więcej na jego temat?

— Czy ja wiem? — dyrektor z wyraźnym zakłopotaniem potarł czoło. — Swojego czasu sympatyzowałam z panną Zosią... To jest z koleżanką Zdrojecką — poprawił się szybko. — Tylko że od dobrych kilku miesięcy uchylły wszelkie plotki na ten temat.

— Słyszałem, że pańska sekretarka cieszy się niemalym powodzeniem...

— Niebawem wychodzi nawet za mąż.

— Za pana Winnickiego?

— Już zdążył się pan dowiedzieć? — zauważył Czubacki z odrobiną uznania.

— Dotarło też do mnie coś niecoś o nieporozumieniach między tym młodym człowiekiem a Borodiczem.

— Podejrzewa pan naszego bełhapowca? Ależ to absurd! — zachnął się dyrektor. — Kolega Winnicki faktycznie ma dość gwałtowne usposobienie, nie myśli pan chyba jednak...

— Na razie za wcześnie jeszcze na precyzowanie podejrzeń — oficer zbagatelizował sprawę. — Najpierw muszę dowiedzieć się czegoś więcej o denacie i stosunkach, jakie łączyły go z innymi pracownikami.

— W takim razie niech pan zajrzy do koleżanki Rydzickiej. Wprawdzie nie zawsze można polegać na jej sądach, ale z drugiej strony przez ostatnie pół roku dzieliła pokój z Borodiczem.

— Chyba skorzystam z pańskiej rady — Mazurek uznał, że dalsze przeciąganie rozmowy nie miałooby już sensu i wstając z fotela wyciągnął rękę na pożegnanie. — Przy okazji pozwolę sobie zajrzeć do biurka denata.

— Nie widzę przeszkód.

— Aha! Byłbym zapomniiał o jeszcze jednym, niezbyt dyskretnym pytaniu...

— Tak?

— Czy wczoraj, pod koniec urzędowania, korzystał pan z toalety?

— Owszem — w oczach Czubackiego pojawił się jak gdyby cień rozbawienia. — Tylko że nie z tej, w której znaleziono dzisiaj zwłoki Borodzicza — dodał prawie natychmiast. — Na naszym piętrze jest jeszcze jedna...

Niespełnia dziesięć minut później porucznik przekraczał progi niewielkiego, nieco ciemnego pokoiku na drugim piętrze biura zakładów. Po eleganckim, dyrektorskim gabinecie pomieszczenie zajmowane do niedawna przez kierownika kontroli wewnętrznej zrobiło na przybyłym dość

żałosne wrażenie. Ściany pokrywała łuszcząca się farba bliżej nieokreślonego koloru, a odrapana szafa żaluzjowa, zdezelowany wieszak na ubranie i krzesła pamiętały chyba jeszcze lata pięćdziesiąte. Dwa wielkie i równie stare biurka zajmowały blisko połowę powierzchni pokoju. Siedząca przy jednym z nich przeszło czterdziestoletnia, gładko uczesana kobieta w niemodnym, szarym kostiumie słuchała z widocznym zainteresowaniem drobnego, niedbale ubranego mężczyzny o czerwonej twarzy i wydatnym, posiniałym na czubku nosie.

Mężczyzna urwał w pół zdania, spoglądając z nie tajoną niechęcią na oficera. Mazurek udał jednak, że tego nie dostrzega i zwrócił się bezpośrednio do kobiety.

— Pani Rydzicka? — raczej stwierdził, niż zapytał. — Chciałem zamienić z panią kilka słów na temat pani tragicznie zmarłego kolegi.

— To ja już chyba pójde — mężczyzna ociężale podniósł się z krzesła.

— A może, korzystając z okazji, również od pana dowiedziałbym się czegoś o denacie? — niemal odruchowo powstrzymał go porucznik.

— Kiedy myśmy się prawie wcale nie stykali...

— Ależ, panie Edku! — żywo wtrąciła się Rydzicka. — Przecież dopiero co Borodicz robił u pana kontrolę... To jest pan Marecki, kierownik naszego magazynu — przedstawiła oficera mężczyźnie.

— Wielka mi kontrola! — Marecki lekceważąco wzruszył ramionami. — Najpierw odbyła się inwentaryzacja, a później Borodicz pogrzebał trochę w fakturach, „pezetkach” i innych szpargałach... Prawdę powiedziawszy nie było co kontrolować — dodał z rozbijającą szczerością. — Od półtora roku tak cała produkcja, jak i zaopatrzenie tylko formalnie przechodzi przez magazyn. Części od kooperantów prosto z ciężarówek trafiają do montażu, a o wszystko, co tylko zejdzie z taśmy, biją się czekający w kolejce handlowcy.

— Czyżby piłnował pan gołych ścian?

— Jeśli nie liczyć zwróconych nam w ramach reklamacji buble...

— Innymi słowy Borodicz kontrolował pański magazyn bardziej dla sportu niż z rzeczywistej potrzeby?

— Nie da się ukryć.

— To była jego własna inicjatywa?

— Raczej pomyśl któregoś z dyrektorów.

— Omawiał później z panem wyniki kontroli?

— Żartuje pan? — zachnął się magazynier. — Nie było co omawiać. Napisał protokół, ja podpisałem i po krzyku.

— Czy ktoś z państwa stykało się z Borodzieczem na płaszczyźnie prywatnej? — zmienił temat oficer.

— Tak po prawdzie, to do zbyt towarzyskich on nie należał — odparła Rydzicka z lekkim przekąsem. — Poza panią Zdrojecką nie utrzymywał z nikim bliższych stosunków.

— Komu jak komu, ale koleżance z pokoju zwierzał się chyba ze swoich kłopotów?

— Jakie kłopoty może mieć kawaler z własnościowym mieszkaniem i dużym fiatem?

— Dobra sytuacja materialna to nie wszystko...

— Co ma pan na myśli?

— Z panią Zdrojecką coś jednak Borodzieczowi nie wychodziło...

— Brzydko obmawiać bliźnich, zwłaszcza pod ich nieobecność — Rydzicka konfidencjonalnie zniżyła głos — ale z jejmość panny sekretarki jest lepszy numer. Połowa panów z naszego przedsiębiorstwa smałała do niej cholewki. Swojego czasu zainteresował się nią nawet dyrektor Krzepik, choć nie jest już pierwszej młodości i niebawem zostanie dziadkiem.

— Co winna dziewczyna, że natura nie poskąpiła jej urody? — wtrącił się Marecki. — A swoją drogą przyzna pani, że przyszłego męża nie najlepiej sobie wybrała.

— Słyszałam, że ten Winnicki to pijak i chuligan — przytaknęła Rydzicka gorliwie. — Podobno kiedyś nawet uderzył pana Borodzieca.

— Sam byłem świadkiem, jak w zeszłym tygodniu odgrażał się, że pobije każdego, kto spróbowałby choć dotknąć pani Zosi — podchwycił magazynier. — Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby to właśnie on... — przerwał nagle w pół zdania, przypomniawszy widać sobie, że słucha go nie tylko Rydzicka, ale i funkcjonariusz milicji.

— Naprawdę tak pan uważa? — porucznik popatrzył badawczo na Mareckiego.

— No nie... Pan mnie chyba źle zrozumiał — wycofał się kierownik magazynu. — Właściwie to nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

— Czy Borodziecz często popadał w konflikty z innymi pracownikami?

— Nie wydaje mi się... Przynajmniej nic o tym nie słyszałem.

— A pani zdaniem?

— Pan Stefan miał wyjątkowo ugodowe uspo-

sobienie — odparła bez namysłu Rydzicka. — Każdego cierpliwie wysłuchał, prawie nigdy nie podnosił głosu... Że też właśnie jego musiało spotkać takie nieszczęście!

— No cóż, chyba trzeba będzie porozmawiać z tym Winnickim — mruknął oficer ni to do siebie, ni do swych rozmówców. — Może on powie mi coś ciekawego.

— Spróbuje go poszukać — skwapliwie zadeklarował się Marecki. — Rano siedział u siebie w pokoju, ale teraz pewno poleciał gdzieś na zakład.

— Jeśli pan taki uprzejmy...

Kierownik magazynu wstał i bez wahania ruszył w kierunku drzwi. Rydzicka uczyniła gest, jak gdyby miała zamiar pójść w jego ślady, Mazurek zatrzymał ją jednak na miejscu.

— Chciałbym zajrzeć do biurka pana Borodzieca. Byłbym wdzięczny, gdyby pani została.

— Zaraz dam panu kluczyki.

Podeszła do szafy i wspiąwszy się na palce pomacała ręką po jej wierzchu. Musiała dobrze wiedzieć, gdzie szukać, bo moment później wręczyła porucznikowi dwa zwykle, zawieszane na drucianym kółeczku klucze.

— Jak widzę, kierownik komórki kontroli wewnętrznej nie dbał zbyt o zabezpieczenie swoich papierów — oficer nie mógł się jakoś powstrzymać od uszczypliwej uwagi. — W tej sytuacji wyniki kontroli dla nikogo nie stanowiły pewno tajemnicy...

— Niech mi pan pokaże zakład, gdzie jest inaczej — słowa Mazurka najwyraźniej nie zrobiły na Rydzickiej większego wrażenia. — Komu by się zresztą chciało grzebać w tych szpargałach...

Porucznik odburknął coś pod nosem z nie tajoną dezaprobatą, uznawszy jednak, że wdawanie się z nią w dyskusję nie miałooby większego sensu, bez dalszych uwag otworzył pierwszą z brzegu szufladę biurka Borodzieca. W środku prócz kilku teczek z dokumentami, zdezaktualizowanego kalendarza i dwóch brulionów z notatkami wałały się jedynie połamane ołówki. Oficer zaczął właśnie wykladać wszystko na blat biurka, kiedy skrzyknęły drzwi i do pokoju wkroczył niewysoki, pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna o zniszczonej twarzy i rzadkich, siwych włosach.

— Czy przepisała już pani na czysto protokół z ostatniej narady? — zapytał niskim, nieco ochrypłym głosem. — Pragnąłby go zobaczyć, nim trafi do Czubackiego.

— Zostały mi jeszcze trzy albo cztery strony — wyznała Rydzicka ze skrucą. — Kiedy

usłyszałam wczoraj o szykujących się w naszym przedsiębiorstwie zmianach, na wszelki wypadek zabrałam notatki do domu — dorzuciła jak gdyby na swoje usprawiedliwienie. — Pan dyrektor życzył sobie, by protokół był gotów w przyszłym tygodniu, pomyślałam więc...

— Dobrze pani zrobiła — pochwalił. — Takich rzeczy lepiej nie trzymać teraz w biurku... A pan pewno z milicji? — domyślił się; spoglądając na Mazurka. — Kolega Czubacki wspominał mi o prowadzonym śledztwie...

— Mazurek — skwapliwie przedstawił się porucznik.

— Krzepik.

— Korzystając z okazji, czy zechciałby mi pan poświęcić kilka minut?

— Jeśli uważa pan to za konieczne... — dyrektor z nie ukrywanym wyrazem znudzenia na twarzy usiadł naprzeciwko oficera.

— Może zaparzyć panom kawę? — poderwała się Rydzicka. — Pan lubi mocną, prawda, panie dyrektorze?

Nie czekając na odpowiedź wybiegła z pokoju. Mężczyźni zostali sami. Porucznik miał właśnie zamiar zadać na początek jakieś mało znaczące pytanie, ale jako pierwszy odezwał się Krzepik.

— Zdolał pan już coś ustalić? — rzucił zdawkowo.

— Prawdę powiedziawszy niewiele — skrzywił się Mazurek. — Moi dotychczasowi rozmówcy dość słabo znali denata.

— Wcale mnie to nie dziwi. Borodicz nie dbał o nawiązywanie bliższych stosunków z pracownikami naszego przedsiębiorstwa.

— Z wyjątkiem pani Zdrojeckiej...

— W pewnym sensie, choć i tu plotki znacznie ubarwiły rzeczywistość — po twarzy dyrektora przemknął ledwo widoczny cień. — Nicwiele znaczący romans biurowy urósł do rangi sensacji.

— Borodicz podlegał bezpośrednio panu?

— Zgadza się.

— Czy w ostatnich latach ujawnił jakieś poważniejsze nadużycie?

— Nie przypominam sobie... Chociaż... zaraz! — Krzepik z rozmachem stuknął się w czoło. — Ależ tak! Panu może się to wprawdzie wydać drobną sprawą, ale w odczuciu pracowników naszego przedsiębiorstwa wyrok dwóch lat więzienia dla jednego z nich był niemal szokiem.

— Borodicz przyczynił się do wysłania kogoś za kratki?

— Chwilczkę... Jak się nazywał ten niefortun-

ny amator społecznego grosza? — dyrektor zmarszczył brwi, usiłując przypomnieć sobie nazwisko. — Już wiem! — uśmiechnął się z widoczną satysfakcją. — Waldemar Cieciewicz.

— Co to za jeden?

— Zaopatrzeniowiec.

— Co miał na sumieniu?

— Pan zapewne zdaje sobie sprawę, że wytwarzany u nas sprzęt elektrotechniczny bywa lako-
nym kąskiem dla ludzi nie grzeszących uczciwością. Również części i całe podzespoły, przysyłane nam przez kooperantów, są miłe widziane na czarnym rynku. Pan Cieciewicz nawiązał kontakt z prywatniarzem, trudniącym się naprawą i konserwacją aparatury nagłaśniającej, a resztę nietrudno sobie dośpiewać. Traf ciciał, że zanim rozkręcili interes, sprawa się wydała. Ot i wszystko!

— Nadużycia ujawnił Borodicz?

— Właśnie.

— Jak zareagował zaopatrzeniowiec?

— Natychmiast przyznał się do wszystkiego. Był załamany, obiecywał, że zwróci należność za skradzione materiały... Ogromnie go żałowaliśmy, sprawy jednak nie dało się załatwić we własnym zakresie.

— Kierownik kontroli wewnętrznej uparł się, żeby zawiadomić milicję?

— Nie musiał się wcale upierać! — słowa Krzepika zabrzmiały bezbarwnie i sloganowo niczym podczas okolicznościowego przemówienia. — Dyrekcja w porozumieniu z radą zakładową i egzekutywą organizacji partyjnej...

— Myśli pan, że Cieciewicz mógłby próbować zemsty? — Mazurek przerwał bezceremonialnie dyrektorowi.

— Tego bym nie powiedział. Zresztą, o ile wiem, nasz były zaopatrzeniowiec nie wyszedł jeszcze z więzienia.

Porucznik przypominał sobie słowa Baronowej, nim jednak zdążył powtórzyć je Krzepikowi, otworzyły się drzwi. Do pokoju wracała właśnie Rydzicka z trzema filiżankami kawy i cukierniczką na niewielkiej, eleganckiej tacy.

— Filiżanki musiałam pożyczyć od Zdrojeckiej — poinformowała, stawiając kawę na biurku. — Druga sama przyniosłaby panu dyrektorowi, ale ona nawet nie raczyła ruszyć się z sekretariatu! — dorzuciła z nie tajonym oburzeniem.

— Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie — zauważył Krzepik sentencjonalnie, choć nie bez żalu. — Przez pięć lat kierowałem tym

przedsiębiorstwem, a teraz wielu pracowników woli mnie nie znać...

— Ja zawsze byłam szczerze oddana panu dyrektorowi!

— Może w przyszłości nadarzy się jeszcze okazja, żeby to docenić.

— Oby...

— Słyszałem, że ostatnio Borodziej kontrolował magazyn pana Mareckiego — Mazurek wrócił do zasadniczego tematu. — Czy w magazynie zostały ujawnione jakieś nieprawidłowości?

— Ależ skąd! To była tylko strata czasu.

— W takim razie dlaczego zarządził pan kontrolę?

— Została przewidziana w rocznym harmonogramie, a zjednoczenie nie wyraziło zgody, by z niej zrezygnować — wyjaśnił zduszonym głosem Krzepik. — Zgodnie z moimi przewidywaniami w magazynie wszystko było w najlepszym porządku. Niestety, kiedy mówiłem o tym przed miesiącem, nikt mnie nie raczył słuchać. W dodatku nie dalej jak wczoraj przedstawiciele zjednoczenia wytknęli mi, że o kilka dni skróciłem Borodziejowi termin...

Dyrektor urwał i sięgnawszy po filiżankę wypił łapczywie kilka łyków nie słodzonej kawy. Mazurek chciał poczęstować go papierosem, ale Krzepik pokręcił przecząco głową.

— Może mój następca będzie miał więcej szczęścia i nasi zwierzchnicy zrezygnują choć w części ze swych bzdurnych pomysłów — mruknął z nie ukrywaną goryczą. — Tylko że to już pewno pana nie interesuje.

— Tak czy inaczej trochę mi pan pomógł — bez specjalnego przekonania, raczej przez grzeczność, bąknął Mazurek. — Dziękuję za informację...

— Miło słyszeć, że jednak komuś na coś się jeszcze przydałem — dyrektor wstał, nie kończąc kawy. — Życzę panu szybkiego wyjaśnienia sprawy.

Mimo ostatnich słów Krzepika widać było, że zabójstwo Borodzieja obchodzi go znacznie mniej niż utrata stanowiska. Burknął jeszcze coś pod nosem i bez pożegnania ruszył do wyjścia. Nie zatrzymywany przez porucznika opuszczał właśnie pokój, kiedy na korytarzu zadudniły kroki wracającego Mareckiego. Magazynier skłonił się sztywno dyrektorowi i bez słowa minął go w progu. Najwyraźniej nie dbał już o względy ustępującego zwierzchnika.

— I co z tym Winnickim? — zainteresowała się

Rydzicka, spoglądając pytająco na przybyłego. — Miał go pan przecież przyprowadzić?

— Kamień w wodę — Marecki bezradnie rozłożył ręce. — Podobno zaraz z samego rana wyszedł coś załatwić i od tej pory nikt go nie widział ani w biurze, ani w zakładzie.

— Widać ma niezyste sumienie — zauważyła nie bez złośliwej satysfakcji. — Woli unikać spotkania z milicją!

— Jakoś go znajdziemy — zbagatelizował sprawę Mazurek. — Zapytam w kadrach o adres behapowca i po krzyku.

— Wynajmuje pokój u jednej emerytki na Krasińskiego, przy Koźmiana — śpiesznie poinformowała Rydzicka. — O ile się nie mylę, w drugiej klatce na pierwszym piętrze.

— Jest pani nieoceniiona...

— A gdyby go pan tam nie znalazł, radzę zajrzeć do pani Zdrojeckiej, na Promyka. Domek należy wprowadzić do jej wujka, czy stryjka, ale stary kawaler na emeryturze prawie stałe przesieduje w jakiejś leśniczówce, a pannica może spraszać do siebie kogo tylko zechce.

— Z nią też powinienem porozmawiać...

— W biurze już pan, niestety, nie zdąży — wtrącił Marecki. — Zaraz kończymy urzędowanie, a ja spotkałem przed chwilą w palciu na korytarzu.

— Jak ten czas leci! — westchnął Mazurek, odruchowo zerkając na zegarek. — Nie myślałem, że jest aż tak późno... Na dokładkę nie zdążyłem jeszcze przejrzeć szpargałów Borodzieja!

— Nie może pan odłożyć tego do jutra?

— Raczej nie.

— Szczerze współczuję! — magazynier wyciągnął rękę na pożegnanie, dając do zrozumienia, że nie zamierza towarzyszyć porucznikowi. — Zresztą wątpię, by znalazł pan coś ciekawego.

— Ano zobaczymy...

IV

Było już dobrze ciemno, kiedy Mazurek wysiadł z tramwaju przy placu Komuny Paryskiej. Chwilę później szedł śpiesznie ulicą Krasińskiego w kierunku Wisłostrady.

Przeszukanie biurka Borodzieja nie dało nieste-

ty żadnych rezultatów i teraz porucznik pragnął nadrobić stracony czas. Prawdę powiedziawszy liczył w duchu, że rozmowa z Winnickim zdecydowanie posunie śledztwo naprzód.

Odnaalezienie solidnie wyglądającego, najprawdopodobniej jeszcze przedwojennego bloku nie sprawiło mu trudności. Wdrapał się stromymi schodami na pierwsze piętro i bez wahania zapukał do drzwi opatrzonych mosiężną, wypolerowaną do połysku tabliczką. Po kilku sekundach otworzyła mu niewysoka, osiemdziesięcioletnia chyba staruszka w długiej, staromodnej sukni z brązowej, wypłowiałej gdzieniedzie wełny.

— Pani Tobilewska? — upewnił się, wskazując znacząco wygrawerowane na tabliczce nazwisko.

— Owszem — przytaknęła z godnością, choć w jej głosie można było wyczuć odrobinę zdziwienia. — Pan na pewno do mnie?

— Raczej do pana Winnickiego.

— W takim razie ma pan pecha.

— Czyżbym go nie zastał?

— Wyszedł z domu godzinę temu i Bóg mi świadkiem, że nie wiem, kiedy wróci.

— Szkoda! — westchnął Mazurek. — Będę musiał przyjść innym razem.

— A o co właściwie chodzi? — nieoczekiwana wizyta porucznika najwyraźniej zaintrygowała staruszkę. — Może coś przekazać panu Winnickiemu?

— W miejscu pracy pani lokatora doszło do poważnego wypadku — ogłędnie wyjaśnił oficer. — Prowadzę śledztwo w tej sprawie i muszę porozmawiać z każdym z pracowników.

— Wypadek? — zrozumiła wreszcie powód wizyty funkcjonariusza. — Więc to dlatego pan Winnicki był wczoraj taki zdenerwowany... Proszę, proszę! — otworzyła szerzej drzwi, wpuszczając Mazurka do mieszkania. — Niech pan wejdzie. Nie będziemy przecież stali na klatce schodowej.

Porucznik skwapliwie skorzystał z zaproszenia. Zostawił płaszcz w ciemnym przedpokoju i moment później znalazł się wraz z Tobilewską w przestronnej, utrzymanej w pedantycznej wprost czystości kuchni.

— Pan Winnicki nie mówił pani, co się stało? — zagadnął, wracając do tematu.

— Nawet słowem nie wspominał o żadnym wypadku. Wyglądało raczej, że ktoś mu sprawił dużą przykrość.

— Jest pani pewna?

— Czy ja wiem? — zawahała się staruszka. —

Pan Winnicki przyszedł na niezłym rauszu i mówiąc szczerze nie zwracałam uwagi na jego gadanie... Zresztą było już po dziesiątej i chciałam położyć się wreszcie do łóżka...

— A na jakiej podstawie wywnioskowała pani, że miał z kimś zatarg?

— Okropnie pomstował na jakiegoś pana Stefana.

— Może Boródcicza? — podpowiedział oficer.

— Nie powiem panu — rozłożyła ręce bezradnym gestem. — Nie pamiętam.

— I co było dalej?

— Pan Winnicki zamknął się w swoim pokoju i przez całą godzinę hałasował, że oka zmrużyć nie mógł. W końcu zapukałam, żeby się uciszył.

— Poskutkowało?

— W pewnym sensie.

— To znaczy?

— Chwycił płaszcz, trzasnął drzwiami i tyle go widziałam. Wrócił dopiero nad ranem.

— Przeprósł panią za swoje nocne ekscesy?

— Młody, więc i pstro ma jeszcze w głowie — zbagatelizowała sprawę Tobilewska. — Choć ogólnie, to dobry z niego chłopak. Śmiecie mi zawsze wyniesie, przed zesłymi świętami Bożego Narodzenia dywan wytrzepeł...

— A często zdarzały mu się wysoki takie, jak wczoraj?

— Nic podobnego! — zaprzeczyła stanowczo. — Przecież nie wynajmowałabym mu wtedy pokoju.

— Czy mam rozumieć, że dzisiaj zachowywał się już w sposób bardziej zrównoważony?

— Po powrocie z pracy był nawet w humorze... A o jakim to wypadku wspominał pan przed chwilą? — przypomniała sobie niedawne słowa Mazurka. — Co się właściwie stało?

— Nie żyje jeden ze znajomych pana Winnickiego — odparł porucznik wymijająco. — No, ale na mnie już czas! — na pożegnanie szarmancko omoknął staruszkę w rękę i nie czekając na dalsze pytania w sprawie rzekomego wypadku, ruszył śpiesznie do wyjścia. — Zajrzę tu jutro. Może będę miał więcej szczęścia i zastanę pana Winnickiego.

Na ulicy poczuł głód. Od śniadania poza skromną kanapką nie miał nic w ustach, a mijala właśnie dwudziesta. Chciał zajrzeć do pobliskiego baru, dobiegające stamtąd pijackie okrzyki skutecznie odwoływały go jednak od tego zamiaru. Przez moment wahał się, czy przed powrotem do domu złożyć jeszcze wizytę Zdrojeckiej. Był już niemal

zdecydowany odłożyć tę rozmowę do jutra, kiedy przypomni sobie, że żona ma dzisiaj dyżur w szpitalu. Tak więc nie tylko o spóźnionym obiedzie, ale nawet o czekającej na niego kolacji mógł tylko pomarzyć...

Wolnym krokiem ruszył w kierunku ulicy Promyka. Z jednej strony ciągnęły się wzdłuż niej ogródki działkowe, a z drugiej niewysokie, przeważnie jeszcze przedwojenne domki.

Ten należący do krewnego Zdrojeckiej nie robił zbyt imponującego wrażenia. Poobijany tynk, urwana rynna iłaty na pokrytym dachówką dachu świadczyły wymownie, że właściciel nie dba zbyt o swą siedzibę.

W oknach było ciemno. Mimo to milicjant podszedł do drzwi i nie widząc nigdzie przycisku dzwonka energicznie zapukał. Niemal w tym samym momencie dobiegł go ze środka jakiś trudny do zidentyfikowania odgłos. Mazurek zamarł w bezruchu, nasłuchując uważnie, ale hałas się nie powtórzył. Co więcej, panująca za drzwiami cisza zdawała się świadczyć, że w domku nie ma nikogo. Na wszelki wypadek porucznik zdecydował ponowić pukanie. I tym razem nikt nie zareagował, jednakże usłyszany przed chwilą odgłos dalej nie dawał oficerowi spokoju...

Odczekawszy jeszcze dobrą minutę Mazurek zrozumiał, że bezmyślne wystawanie pod drzwiami nie ma żadnego sensu. Bez pośpiechu wrócił na chodnik i jak gdyby nigdy nic pomaszzerował w kierunku najbliższej przecznicy. Mijając sąsiedni domek zauważył, że prowadząca do ogródka furta jest otwarta. Zdecydował się błyskawicznie. Bez namysłu skręcił i zatrzymał się za niezbyt grubym filarem podtrzymującym daszek nad wejściem. Nie był to najlepszy punkt obserwacyjny, ale chwilowo porucznik nie miał wyboru.

Przez kolejny kwadrans nic się nie działo. Oficer zaczynał już nabierać pewności, że ma zbyt bujną wyobraźnię, kiedy nagle skrzypnęły drzwi od domku krewnego Zdrojeckiej i na ulicę wysunął się jakiś wysoki mężczyzna z porządnie wypchaną torbą podróżną.

„Wyjeżdża pan z Warszawy, panie Winnicki? — powiedział do siebie funkcjonariusz. — Już ja ci, braciszku, pokażę!”

Bez zastanowienia ruszył biegiem w stronę mężczyzny. Miał nadzieję, że dopadnie go w kilku susach, tamten jednak słysząc ciężkie kroki Mazurka również wyciągnął nogi. Porucznik jeszcze

przyśpieszył i w ciągu kilkunastu sekund dzielący ich dystans stopniał do paru kroków. Pewny swego wyciągał już rękę, by pochwycić uciekiniera za ramię, kiedy ten odwrócił się niespodziewanie i cisnął torbą w oficera. Mazurek zrobił unik, ale spóźnił się o ułamek sekundy i ciężki pakunek zbił go z nóg. Padając boleśnie stłukł łokieć, co jednak tylko rozsierzdziło porucznika. Poderwał się z chodnika i niczym burza ruszył za uciekającym mężczyzną.

Tymczasem tamten zdołał już pokonać całą szerokość ulicy i przesadzał właśnie plot dzielący ją od ogródków działkowych. Oficer dopadł ogrodzenia i przeskoczywszy je co sił w nogach pobiegł wąską alejką. Dystans między nim a ściganym znowu zaczął się zmniejszać, ale tamten najwyraźniej nawet nie myślał o kapitulacji. Nagle jednym susem pokonał kolejny, tym razem znacznie niższy płotek i ruszył na przelaj przez działki. Mazurek poszedł w jego ślady, będąc jednak po drugiej stronie ogrodzenia zaczął o coś czubkiem buta. Odruchowo przytrzymał się ręką rosnącego tuż obok drzewa, ale było ono zbyt słabe, by uchronić go od upadku. Rozległ się cichy trzask i porucznik runął jak długi na świeżo skopaną grządkę.

Zaklął na całe gardło, wypływając z ust ziemię. Przez jego upadek uciekinier znowu mógł zyskać kilka lub nawet kilkanaście metrów, co na terenie działek porośniętych najrozmaitszymi krzewami i po ciemku nie było przecież bez znaczenia. Oficer dźwignął się na nogi. Nigdzie nie dostrzegł ściganego przed chwilą mężczyzny, zaczął więc nasłuchiwać. O dziwo, dookoła panowała kompletna cisza.

„Musi gdzieś być w pobliżu — pomyślał. — Ale gdzie on się, u diabła, schował?”

Na sąsiedniej działce stał małeńki, drewniany domek, żywo przypominający bazarową budkę. Mazurek sięgnął do kabury po pistolet i ostrożnie ruszył w tamtym kierunku. Przy okiennicy i drzwiach prowadzących do domku widniały solidne kłódki, nikt więc nie mógł dostać się niepostrzeżenie do środka. Za to kilka metrów dalej, przy płocie, porucznik zauważył coś w rodzaju krytej skrzyni na narzędzia. Podszedł bliżej i ostentacyjnie zarepetował broń.

— Wylaż! — huknął na całe gardło. — Wylaż, bo pożałujesz!

Za skrzynią coś się jak gdyby poruszyło. Oficer zrobił jeszcze dwa kroki i wycelował pistolet.

— Ile mam czekać?! — rzucił groźnie. — Chcesz, żebym cię inaczej stamtąd wykurzył?!

— Co też pan, panie władzo?! — zza skrzyni dobiegł błagalny, pełen przerażenia głos. — Przecież ja tylko tak... Nie wiedziałem, kto za mną leci, więc przyłożyłem panu tą torbę...

— Wyłaż!!

— Ale pan mi nic nie zrobi?

— Pośpiesz się, do cholery!

Za skrzynią coś zachrzęściło i chwilę później wyłonił się zza niej skurczony ze strachu mężczyzna. Na chwilejnych nogach pokonał połowę dzielącej go od Mazurka odległości i przystając przed funkcjonariuszem złożył ręce w błagalnym geście.

— Pan mi nic nie robi, prawda, panie władzo? — powtórzył dzwoniąc zębami. — Ja nie wiedziałem, że to pan...

— Nie udawaj, że nie zdawałeś sobie sprawy, dlaczego cię gonię! — warknął porucznik. — Przyjdzie ci teraz odpokutować za swoje grzeszki!

— Za głupie włamanie są mi chyba krzywdy nie robi — powiedział zatrzymany, spoglądając z wyraźną ulgą na chowającego broń do kabury oficera. — A tę torbę to mi pan daruje, panie władzo? Odbiło mi... Nie wiedziałem...

— Nie miał tyle ozorem! — niecierpliwie przerwał oficer. — Ze wszystkiego wytłumaczysz się w komendzie. A teraz idziemy!

Włamywacz bez słowa ruszył z powrotem tą samą drogą, którą uciekał kilka minut wcześniej. Idący za nim Mazurek z trudem powstrzymywał się, żeby nie bluźnąć jakimś przekleństwem. Był na siebie wściekły, że uwierzył w możliwość błyskawicznego i efektywnego zakończenia śledztwa. Oto zamiast rzekomo ukrywającego się przed milicją Winnickiego przyłapał w willi krewnego Zdrojeckiej przypadkowego złodzieja. Nocny pościg po ogródkach działkowych dał znacznie mizerniejsze rezultaty od spodziewanych.

Na ulicy stał radiowóz. Tęgi kapral ze znużoną miną przeglądał zawartość leżącej na brzegu chodnika torby, a wysoki sierżant wypytywał o coś młodą kobietę i towarzyszącego jej mężczyznę. Spostrzegłszy porucznika skwapliwie ruszył mu naprzeciw.

— Czolem, Micha! — radośnie, choć nie bez zdziwienia powitał kolegę. — Skąd się tu wziąłeś? I kogo tam taszczysz, u licha?

— Włamywacza — sarkastycznie odburknął oficer. — Właśnie wychodził z chałupy po robocie, kiedy go przyuważyłem z fantami — wskazał

wymownie na torbę. — Jak widzisz, stary, wyreczam cię w twoich obowiązkach.

— Właścicielka mieszkania też się znalazła. Będzie mogła osobiście ci podziękować.

— O, pani Zdrojecka! — Mazurkowi nagle poprawił się humor.

— Byliśmy z Ryszardem w kinie i właśnie mnie odprowadzał — wyjaśniła bez cienia skrepowania. — Dobrze, że pan trafił tu kilka minut wcześniej.

— Sprawdzala już pani, co zostało skradzione?

— Jeszcze nie.

— Sierżant Kuligowski pomoże pani. Przy okazji spisz również protokół.

— Czy to konieczne?

— Nie po to uganiałem się za łobuzem po krzakach, żeby go teraz puścić! — sapnął porucznik, spoglądając niechętnie na zatrzymanego. — Facet musi trafić za kratki i kwita!

— Napisziesz, stary, notatkę dla oficera dyżurnego? — poprosił Kuligowski.

— Nawet z kapralem odwożę ci ptaszka do komendy — odparł Mazurek. — Aha! — przypomniał sobie, odwracając się do Winnickiego. — Pan, z łaski swojej, także dotrzymaj mi towarzysztwa!

— Niby po co? — w głosie Zdrojeckiej zadźwięczała nuta niepokoju. — Przecież Ryszarda nie było tutaj podczas kradzieży?

— Muszę go przesłuchać w związku ze śmiercią Borodiczca — sucho wyjaśnił porucznik. — Uczyniłbym to na miejscu, ale sami państwo rozumiecie, że włamanie pokrzyżowało mi plany.

— Szkoda czasu! — ponaglił sierżant. — Nie będziemy przecież nocować na ulicy!

— Racja! — skwapliwie podchwycił oficer. — Jedziemy, panie Winnicki!

Było już dobrze po godzinie dwudziestej trzeciej, kiedy Mazurek — uporawszy się wreszcie ze wszystkimi formalnościami związanymi z zatrzymaniem włamywacza — poprosił do swego pokoju narzeczonego Zdrojeckiej.

Behapowiec mimo czynionych wysiłków nie umiał jakoś zapanować nad nerwami. Usiadł na brzęku wskazanego krzesła i wyciągnawszy z kieszeni paczkę popularnych złamał kilka zapalek bezskutecznie starając się zapalić papierosa. Wreszcie kolejna próba została uwieczniona powodzeniem. Winnicki zaciągnął się dymem i spojrzął na funkcjonariusza pytająco.

— Właściwie to co chciałby pan wiedzieć? — bąknął niepewnie.

— Słyszałem, że nie darzył pan Borodzicza zbytnią sympatią? — przystąpił do rzeczy porucznik. — Zgadza się?

— Już panu donieśli?

— Wczoraj doszło między panami do awantury.

— A pana szlag by nie trafił, gdyby ktoś ciągnął do łóżka pańską dziewczynę?! — wybuchnął behapowiec. — Zośka jest taka łatwowierna! Już kiedyś dała mu się wykołować. Obiecywał jej złote góry, a potem tak potraktował, że odkręciła w kuchni kurki.

— Zatrucie było poważne?

— Na szczęście obyło się nawet bez pobytu w szpitalu.

— Czy ostatnio pani Zdrojcka również utrzymywała bliższe stosunki z Borodziczem?

— Bez przerwy się do niej dowalał. Mówiłem lobuzowi, że w końcu oberwie, ale jego kijem od Zośki by nie odpędził!

— Innymi słowy śmierć Borodzicza była panu na rękę?

Winnicki odłożył papierosa, butnie spoglądając na oficera. Zmierzli się wzrokiem, odwagi nie starczyło jednak behapowcowi na długo. Po kilku sekundach poruszył się niespokojnie na krześle i spuścił głowę.

— Ja go nie zabiłem, panie poruczniku — powiedział tak cicho, że Mazurek z trudem dosłyszał jego słowa. — Może zrobiłbym to, gdybym go przyłapał z Zośką w łóżku, ale Bóg mi świadkiem, że wczoraj nawet palcem drania nie tknąłem!

— A jednak wyzywał pan Borodzicza, aż na korytarzu było słychać.

— Poniosło mnie.

— Z jakiego powodu?

— Zastałem go u Zośki w sekretariacie.

— Nie jest pan przypadkiem przewrażliwiony?

Uwaga oficera wyraźnie zawstydziła narzeczonego Zdrojckiej. W pierwszym odruchu Winnicki chciał powiedzieć coś na swoje usprawiedliwienie, w końcu jednak pokiwał tylko głową, jak gdyby przyznawał funkcjonariuszowi rację.

— Długo trwała ta awantura? — Mazurek wrócił do tematu.

— Niedługo. Zaraz do sekretariatu zajrzał Waldek Cieciewicz, więc dałem spokój.

— Mówi pan, że mimo woli pogodził was

Cieciewicz? — podchwycił porucznik. — Zdaje się, że on do niedawna jeszcze siedział?

— Puścili go na przedterminowe.

— Czego szukał u pani Zdrojckiej?

— Prosił, żeby umówiła go z dyrektorem. Gość ma zamiar wrócić do tego pieprznika. Głuppek!

— I co było dalej?

— Do sekretariatu wparował Czubacki i pogonił nam wszystkich kota. Cieciewicz z Borodziczem gdzieś się zmyli, a ja wróciłem do siebie.

— Która mogła być wtedy godzina?

— Czy ja wiem? Gdzieś po trzeciej, niewykluczone, że nawet wpół do czwartej.

— Widział pan jeszcze tego dnia Borodzicza?

— Nikogo nie widziałem. Po czwartej zabrałem klamoty i poszedłem do domu.

— Ale pan tam nie dotarł.

— Ano, nie dotarłem — przyznał behapowiec, nerwowo zagryzając wargi. — W każdym razie nieprędko...

— Czyżby umówił się pan na randkę z narzeczoną?

— Nie.

— Czemuż to?

— Byłem wściekły.

— Na nią?

— Tak w ogóle... A najbardziej na siebie...

— Poszedł pan na kielicha?

— Właśnie.

— Sam?

— Nie uwierzy pan, ale nie miałem ochoty na niczyje towarzystwo. Chodziłem od knajpy do knajpy i nigdzie nie mogłem zagrać miejsca. Na powrót do chałupy zdecydowałem się dopiero późnym wieczorem.

— Nie spotkał pan przypadkiem kogoś znajomego?

— Nikogo.

— Szkoda...

— Nic na to nie poradzę!

— Znaczy, że nie ma pan alibi? — ostatnia uwaga Mazurka zabrzmiała wręcz złowieszczo.

— Tak się akurat złożyło, że nie mam — stwierdził Winnicki. — Nigdy bym nie pomyślał, że będzie mi potrzebne. Tylko że to nie ja zabiłem Borodzicza — powtórzył z uporem.

V

Mazurek energicznie zapukał i nie czekając na zaproszenie otworzył drzwi do sekretariatu. Zdrojecka przeglądała właśnie jakiś kolorowy magazyn. Na widok przybyłego odłożyła czasopismo i zapraszającym gestem wskazała porucznikowi krzesło. Skwapliwie przysunął je do biurka.

— Moje uszanowanie pani! — uklonił się sekretarce. — Co słyhać?

— Widzę, że w końcu przyszła kolej i na moja spowiedź — zauważyła pół żartem, pół serio. — A już myślałam, że da mi pan kosza.

— Zostawiłem panią na deser — tym samym tonem odparł oficer.

— Czym mogę panu służyć?

— Pragnąłbym dowiedzieć się kilku pikantnych szczegółów o pani znajomych.

— Chodzi panu o Borodiczka?

— Między innymi.

— Swego czasu łączyły nas dość bliskie stosunki — przyznała z wyraźnym przymusem. — Powiedziałabym, że nawet bardzo bliskie.

— Swego czasu, to znaczy kiedy?

— Mniej więcej przed rokiem. Wtedy nawet zamieszkałam u Stefana...

— Co było powodem zerwania?

— Przeszło nam.

— Tak po prostu?

— Po prostu. Pewnego dnia zabrałam swoje rzeczy i wróciłam do siebie. Obyło się bez scen i większych zgrzytów.

— Wybacz pani, ale obla mi się o uszy zupełnie inna wersja.

— Rysiek panu powiedział o odkręconych kurkach w kuchni?

— Właśnie.

— To nie było tak — Zdrojecka z lekkim zniecierpliwieniem wzruszyła ramionami. — Wszystkiemu winne moje roztargnienie, ot i tyle.

— Doprawdy?

— Winnicki zawsze miał chorobliwie rozwiniętą wyobraźnię — spróbowała nadać głosowi beztroskie brzmienie, ale wypadło to jakoś niezbyt przekonująco. — Inna rzecz, że nigdy nie starałam się wyprowadzać chłopaka z błędu —

dorzuciła widząc niedowierzanie w oczach Mazurka. — Pan rozumie, zamierzamy się pobrać...

— No dobrze — ustąpił porucznik. — Dajmy już temu spokój.

— Nie powtórzy pan Ryśkowi naszej rozmowy?

— Słowo.

— Dziękuję! On jest okropnie zazdrosny.

— I gwałtowny.

— Kocha mnie.

— A pani?

— To nie należy chyba do śledztwa?

— Przepraszam... Przedwczoraj pani narzeczony urządził tutaj niechęć awanturę — zmienił temat oficer. — O co poszło?

— Zobaczył u mnie Stefana i się wściekł. Cafe szczęście, że do sekretariatu zajrzał akurat Cieciewicz, bo nie wiem, czym by się to skończyło.

— Winnicki miał jakiś konkretny powód do takiego zachowania?

— Skądże znowu!

— A czego właściwie chciał od pani Borodiczka?

— Prawdę powiedziawszy nie przyszedł wcale do mnie, tylko do dyrektora Czubackiego.

— W jakiej sprawie?

— Przyniósł jakąś fakturę i odmowę akceptu. Twierdził, że to ważne, ale dyrektor nie miał akurat czasu.

Urwała, spoglądając na otwierające się właśnie drzwi od jednego z dyrektorskich gabinetów. Do sekretariatu wkroczył Czubacki.

— Jak tam pańskie śledztwo, poruczniku? — uśmiechnął się zyczliwie do funkcjonariusza. — Posuwa się pan naprzód?

— Na razie uwodzę panu sekretarkę.

— Czy chociaż ze skutkiem?

— Przyszłość pokaże.

— Jeśli będzie miał pan chwilę czasu, proszę do mnie zajrzeć.

— Dobrze się składa, bo chciałbym zasięgnąć u pana informacji w jednej sprawie.

— A więc zapraszam! — dyrektor zachęcającym gestem wskazał drzwi gabinetu. — Może przy okazji kawusi?

— Chętnie.

— Panno Zosienko! — Czubacki porozumiewawczo przymrużył oko. — Dwa szatany.

— Już parzę, panie dyrektorze.

— Zawsze twierdziłem, że przy kawie łatwiej rozwiązuje się nawet najtrudniejsze problemy.

— A propos! — podchwycił Mazurek. — Podobno przedwczoraj Borodiczka miał problem z

jakąś fakturą. Przychodził z nią nawet do pana.

— Rzeczywiście — przypomniał sobie Czubacki. — Poradziłem mu, żeby wyjaśnił sprawę z kolegą Krzepikiem.

— Coś było nie w porządku?

— Trudno mi powiedzieć — dyrektor bezradnym gestem rozłożył ręce. — Miałem na karku gości ze zjednoczenia i nie zdążyłem dowiedzieć się bliższych szczegółów.

— W biurku denata nie znalazłem żadnej faktury.

— Sądzi pan, że może zachodzić jakiś związek pomiędzy tym dokumentem a śmiercią kierownika kontroli wewnętrznej? — Czubacki z niedowierzaniem pokręcił głową. — Moim zdaniem to raczej mało prawdopodobne.

— Lepiej sprawdzić...

— Słusznie!

Dyrektor ponownie wskazał porucznikowi wejście do swego pokoju. Oficer miał właśnie zamiar skorzystać z zaproszenia, kiedy skrzypnęły drzwi od drugiego z gabinetów. Do sekretariatu wsunął się Krzepik. Był w płaszczu, a w rękę trzymał elegancką „dyplomatkę”, co świadczyło, że opuszcza biuro na dłużej.

— Co tak szybko, Zygmunt, do domu? — zdziwił się Czubacki. — Dopiero dziesiąta...

— Muszę jeszcze wpaść do zjednoczenia — odburknął Krzepik. — Zresztą dobrze wiesz, że tutaj nie mam już nic do roboty.

— Jak uważasz.

— Jeśli chodzi o bieżące sprawy przedsiębiorstwa, to jesteś w kursie, tak że nie muszę ci ich nawet przekazywać.

— No właśnie! — podchwycił Czubacki. — Nie pamiętasz przypadkiem faktury na pięć i pół miliona sprzed dwóch miesięcy?

— Jakiej znowu faktury?

— Dla Szczecina... Niedawno przyszła odmowa akceptu.

— Pierwsze słyszę.

— Przecież to ty podpisywałeś tę fakturę.

— Każdy z nas podpisywał codziennie tony dokumentów — Krzepik obojętnie wzruszył ramionami. — A po co ci ten szpargał?

— Przedwczoraj Borodicz latał z nim jak kot z pęcherzem, a pan porucznik chciałby sprawę wyjaśnić.

— W księgowości powinni wiedzieć, w czym rzecz — cierpko zauważył Krzepik. — Pani Zosiu! — zwrócił się do sekretarki. — Niech pani

poprosi panią Picer, żeby przygotowała na jutro komplet dokumentów dla pana porucznika.

— Sam to załatwię! — niecierpliwie wtrącił się Czubacki. — Jutro, Zygmunt, jeszcze jesteś?

— Wpadnę koło południa.

— To dobrze. Może pan porucznik będzie chciał cię o coś dodatkowo zapytać...

VI

W komendzie czekał na Mazurka Pozorski. Mina chorążego nie wróżyła, by miał w zanadru jakies rewelacje.

— Co u ciebie? — powitał porucznika. — Ustaliles coś?

— Niewiele — westchnął oficer, siadając ociężale za swym biurkiem. — A ty?

— Mieszkanie Borodicza niczym nie różni się od setek innych własnościowych kawalerek w Warszawie, a sąsiedzi z bloku w zdecydowanej większości robili wielkie oczy słysząc jego nazwisko.

— Byłeś w Zakładzie Medycyny Sądowej?

— Sekcja zwłok potwierdziła nasze przypuszczenia co do okoliczności zgonu faceta.

— Dowiedziałeś się czegoś o Cieciewiczu?

— Na to potrzeba paru dni, a nie kilku godzin — mruknął Pozorski. — Tak czy inaczej gościa wypuścili z pudła w zeszłym tygodniu. Podobno mieszka teraz u jakiejś ciotki na Pradze, na Żąbkowskiej.

— Przydałyby się akta jego sprawy.

— Dziewczyny obiecały mi poszukać w archiwum.

— To wszystko?

— Mam jeszcze nazwisko faceta, z którym Cieciewicz kiedyś kombinował.

— Dawaj!

— Niejaki Antoni Paluch, konserwator aparatury nagłaśniającej — odczytał chorąży, znalazłszy odpowiednią notatkę w pękatym notesie. — Kiedyś mieszkał w Łomiankach.

— A teraz?

— Pozostaje pod naszą czułą opieką — roześmiał się Pozorski. — Znajdziesz go w Białolece.

— Trzeba by wycygnąć od starego samochód.

— Wyobraź sobie, że naczelnik Kłosiński obie-

cał nam operacyjnego fiata z cywilną rejestracją. Oczywiście tylko na dzisiaj, bo jutro bierze wóz kto inny.

— W kominie zapisać! — Mazurek aż się poderwał z miejsca. — No to szkoda czasu. Lecimy!

— A sam byś się nie przewietrzył? — nieśmiało zaproponował chorąży. — Major wraz z nowiną o samochodzie przyniósł mi sprawę tego zatrzymanego przez ciebie wczoraj włamywacza. Gość ma na sumieniu nie tylko chałupę Zdrojeckiej, więc chyba rozumiesz...

— No dobrze — zgodził się porucznik, choć jego mina świadczyła wymownie, że pomysł kolegi nie napawa go entuzjazmem. — Jakoś sobie poradzę. Tylko dopilnuj, żeby dziewczyny znalazły te akta Cieciewicza — przypomniał Pozorskiemu. — Jedno z drugim może mieć związek.

Pół godziny później oficer był już na Ząbkowskiej. Z braku miejsca zaparkował radiowóz dobre dwieście metrów od starej, jeszcze przedwojennej kamienicy. Śpiesznie minął ciemne podwórko i skręcił do jednej z oficyn. Klatka schodowa była ciasna i nie odnawiana od kilku dziesiątków lat, a na domiar złego panował na niej okropny zaduch. Zatykając nos Mazurek wdrapał się na trzecie piętro i zapukał do drzwi na wprost schodów. Przez kilkanaście sekund czekał cierpliwie, ale nikt nie zareagował. Porucznik ponowił pukanie, niestety również bez skutku. Pomyślał, że nie powinien jeszcze rezygnować, jednakże dokuczliwy smród okazał się silniejszy od wszelkich postanowień i po chwili wahania oficer dał za wygraną zbiegając śpiesznie po schodach.

Pośrodku podwórka stał wsparty o miotłę niewysoki, czterdziestokilkuletni, sądząc z wyglądu, mężczyzna o szerokiej, czerwonej twarzy i małych, głęboko osadzonych oczkach. Z filozoficzną wprost zadumą przyglądał się włóczonemu przez wiatr śmieciom i najwyraźniej nie był zdecydowany, czy zrobić użytek ze swej prowizorycznej podpórki. Oficer miał już zamiar głośno skomentować, co należy do obowiązków dozorca, w porę jednak ugryził się w język.

— Moje uszanowanie panu — zaczął grzecznie. — Można słówko?

— Pan z milicji? — domyślił się dozorca, ani na to nie zmieniając pozycji. — O co chodzi?

— Widział pan dzisiaj niejaką Pazińską z trzeciego piętra?

— Co miałem nie widzieć...

— Ale teraz jej nie ma w domu.

— Jasne! — przytaknął dozorca. — O tej porze siedzi codziennie na bazarze.

— Na bazarze?

— To pan nie wiedział, że ma tam budę?

— Dziękuję za informację.

— Drobiazg.

— A nie wie pan przypadkiem, czy ostatnio ktoś mieszkał u Pazińskiej?

— Lepiej niech pan ją samą o to zapyta — dozorca stracił nagle ochotę do dalszej rozmowy i chwyciwszy miotłę w obie dłonie przejechał nią po zaśmieconym podwórku. — Ja tam nosa w cudze sprawy nie wsadzam.

Do wejścia na bazar było dostownie kilka kroków, tak że Mazurek nawet nie ruszał zaparkowanego na Ząbkowskiej wozu. Mijał właśnie pierwsze budki i stragany, kiedy przypomniał sobie o miejscowym posterunku MO. Wprawdzie ciotka Cieciewicza była w całej sprawie jedynie drugorzędny świadkiem, ale ewentualna pomoc znających ten specyficzny bądź-co-bądź teren funkcjonariuszy mogła okazać się przydatna.

Bez trudu odnalazł niepozorny budynek. Dwaj ubrani po cywilnemu, nie najmłodszy już milicjanci dopijali akurat herbatę. Usłyszawszy w czym rzecz tęższy z nich rozłożył na chybottliwym stoliku plan bazaru.

— Pazińska ma budę w drugim ciągu od płotu — wskazał porucznikowi na planie właściwy prostokąt. — Będzie nas trzech, więc nie sądę, by wycięła nam jakiegoś szpasa...

Dziesięć minut później oficer jak gdyby nigdy nie zbliżył się do zielonej budki z bluzkami, apaszkami i masą innych części damskiej garderoby. Towar zapamiętała zachwalała niska, dość tęga kobieta dobrze już po pięćdziesiątce, o pulchnych, pokrytych grubą warstwą pudru policzkach.

— Pan szanowny życzy sobie prezent dla małżonki? — beczceremonialnie zagadnęła Mazurka, taksując go baczny spojrzeniem. — Polecam kompleciki z milanezu. Mam różowe, niebieskie, zielone i seledynowe...

— To nie na prezent. — bąknął zmieszany zaczepką Pazińskiej. — Żona kazała...

— Chodzi o rajstopy? — konfidencjonalnie ściszyła głos. — Midi czy maxi?

— Dla mnie midi — przed budką zatrzymała się szczupła blondynka w krótkim kożusku. — Ma pani austriackie?

— Tylko krajowe — handlarka schyliła się, wyciągając z jakiegoś kąta dwa opakowania. — Ale w dzisiejszych czasach i to rarytas, moja ziołciutka!

— Ile płacę?

— Jak dla pani: trzysta pięćdziesiąt — zażądała bez zmruczenia oka Pazińska.

— Okropnie drogo...

— Taniej nie mogę — teatralnym gestem rozłożyła ręce. — Bóg mi świadkiem, że i tak sprzedaję ze stratą.

— W sklepie kosztują siedemdziesiąt! — nie wytrzymał funkcjonariusz. — Jak pani nie wstyd ludzi naciągać?

— Patrzenie go! — handlarka aż poczerwieniała z niekłamane go oburzenia. — A leć do sklepu, skoro żeś taki mądry. Krzyżyk na drogę!

— Dam po trzysta — blondynka zachęcającym ruchem wyjęła z torebki kilka banknotów. — Wziąłabym od razu trzy pary...

— Trzysta pięćdziesiąt, królowo! Trzysta pięćdziesiąt...

— Za takie ceny powinna pani trafić do kolegium! — porucznik wkroczył bardziej zdecydowanie.

— Boże, patrzysz i nie grzmisz! — Pazińska podniosła głos, że słyhać ją było w promieniu kilkunastu metrów. — Wygląda to, jak za przeproszeniem ostatni lachmiarz, a morały będzie człowiekowi prawić! Handlować przeszkadza!

— Szanowna pani...

— A idźże w cholere, pęta ku!

— Na dołku inaczej zaśpiewasz! — mimo czynionych wysiłków oficer stracił w końcu panowanie nad sobą. — Nauczają cię tam dobrych manier!

— Jezus, Maria! — wrzasnęła przeraźliwie, że aż zaświdrowało w uszach. — Na pomoc!!

Mazurek chciał sięgnąć po legitymację, ale w tym samym momencie jak spod ziemi wyrosło obok niego z pół tuzina indywiduów o mocno podejrzanych fizjonomiach. Niemal równocześnie ze wszystkich stron zaczęły się zbiegać żądne wrażeń handlarki, a rosnący tłumek naparł na porucznika, jak gdyby to był tramwaj w godzinach szczytu, a nie miejsce na bazarze.

— Ratunku! — Pazińska darła się wniebogłosy. — Mordują!

— Uspokój się, pani! — nieoczekiwanie za handlarką pojawił się jeden z miejscowych funkcjonariuszy. Od tyłu wszedł do budki i teraz

bezceremonialnie chwycił kobietę za ramię. — Po co te krzyki!

— Obywatelo! — zagrzmiął drugi milicjant, na wszelki wypadek wyciągając zza pazuchy składaną pałkę. — Proszę się rozejść!

— Proszę się rozejść! — niemal bezwiednie powtórzył oficer. — Proszę nie robić zbiegowiska!

W okamgnieniu zebrani rozpierzchli się na wszystkie strony i pod budką zrobiło się pusto. Nawet blondynka usiłująca przed chwilą kupić rajstopy zniknęła gdzieś bez śladu. Mazurek głęboko odetchnął i widząc, że sytuacja została opanowana, natarł na Pazińską.

— Już ja się postaram, żeby dzisiejsze wyczyny nie uszły wam na sucho! — rzucił z nie ukrywaną groźbą w głosie. — Odpowiedcie za wszystko z nawiązką!

— Niech się pan zlituje — jęknęła płaczliwie. — Przecież ja nie wiedziałam, że pan z milicji...

— Spekulacja, wywołanie zbiegowiska, a na domiar złego ukrywanie przestępcy — wyliczył twardo. — Nazbierało się tego, oj nazbierało...

— Ukrywanie przestępcy? — aż podskoczyła z wrażenia, najwyraźniej zapominając, co przed chwilą wydarzyło się na bazarze. — Czyżby pan władza szukał mego siostrzeńca?

— Owszem.

— Jakie to szczęście, że wygoniłam go do wszystkich diabłów — odetchnęła z wyraźną ulgą.

— Co takiego?

— Po prostu nie zwykłam trzymać darmozjadów pod swoim dachem. Wszedł z pudła, nie miał się gdzie podziąć, więc go przyjąłem, ale on zamiast poszukać sobie uczciwej roboty, zaczął mi sprowadzać jakichś kolesiów.

— Nie wiecie, gdzie go teraz szukać?

— Nawet nie chcę wiedzieć! — fuknęła ze złością. — Tacy jak on prędzej czy później wrócą do paki, a mnie wystarczy własnych kłopotów. Gdyby nie matka tego gałgana, moja przyrodnia siostra Adela, nigdy bym go za próg nie wpuściła.

— Podajcie mi adres siostry.

— A proszę bardzo! — uśmiechnęła się jakoś dziwnie. — Znajdzie ją pan w Płudach, w Domu Rencisty.

— Czy Cieciewicz ma jeszcze jakichś krewnych w Warszawie?

— Z żoną się rozszedł i nieboraczka wróciła do swoich, do Łodzi. Poza tym z całej rodziny zostaliśmy tylko my dwie z Adela.

— Gdzie mieszkał siostrzeniec, zanim trafił do więzienia?

Ostatnie pytanie Mazurka wyraźnie zmieszało Pazińską. Nerwowo zagryzła wargi i umilkła na moment, jak gdyby szukając wytłumaczenia dla tego, co zaraz powie. Wreszcie pokonała widać dręczące ją wyrzuty sumienia, bo na twarzy handlarki pojawił się wyraz złośliwej satysfakcji i tępego uporu.

— Przez pięć lat wszyscy siedzieli mi na głowie — odparła niemal zaczepnie. — Adela, Waldek i ta jego wiecznie chorująca żona. Święty miałby dosyć... Ale teraz żadne z nich nie jest już u mnie zameldowane i mam wreszcie spokój!

Porucznik wzruszył tylko ramionami. W końcu mieszkanie się w sprawy rodzinne Pazińskiej i Cieciewiczza nie leżało już w jego kompetencjach.

— Kiedy siostrzeniec wyprowadził się od was? — zapytał dla porządku.

— Wczoraj po południu.

— A pamiętacie, co robił przedwczoraj?

— Cały dzień nie było go w domu. Wrócił dopiero przed północą i jak to pijany zaczął wygadywać głupoty. Zezłiłam się i kazałam mu następnego dnia poszukać sobie innego lokum.

— Jak zareagował?

— Wyzwał mnie od ostatnich. Tak wrzeszczał, że chyba pół kamienicy słyszało. Bałam się, żeby mi nie przyłożył, ale na szczęście sąsiad stanął w mojej obronie...

Dom Rencisty w Płudach okazał się niewysokim, w miarę nowoczesnym i schludnie wyglądającym budynkiem. Oficer zaparkował radiowóz przed jego frontem i bez pośpiechu ruszył do wejścia. Zaraz za progiem, w niezbyt obszernym holu, natknął się na kilku zapamiętałe o czymś dyskutujących staruszków. Minał ich bez słowa i wspiął się na pierwsze piętro. Wszystko dookoła lśniło czystością, na ścianach wisiały obrazki, a wykładziny dywanowej nie powstydzilby się niejeden pensjonat. Mimo to Mazurek poczuł się jak w szpitalu.

— Pan do kogo? — zagadnęła porucznika niemłoda pielęgniarka z pokaźnym sterylizatorem pod pachą.

— Do pani Cieciewicz.

— To dobrze — uśmiechnęła się lekko. — Po roku bez wizyty ma już drugiego gościa w przeciagu tygodnia... Pójdzie pan korytarzem w prawo. To będą trzecie drzwi.

Chwilę później oficer stanął w progu maleńkiego pokoiku. Jego umeblowanie składało się jedynie z tapczanu, szafki, miniaturowego stoliczka oraz krzesła, a i tak zajmowało zdecydowaną większość powierzchni.

Adela Cieciewiczowa wyglądała piętnaście, a może nawet dwadzieścia lat starszej od swej siostry. Otulona szarym, porządnie już sfatygowanym szalem siedziała na tapczanie, wpatrując się nieruchomo w okno. W pierwszym momencie nie zauważyła Mazurka i dopiero kiedy chrząknął, by zaznaczyć swoją obecność, odwróciła głowę w jego kierunku.

— Pan do mnie? — spytała cichym, łamiącym się głosem. — Proszę wybaczyć, ale jakoś nie mogę sobie pana przypomnieć...

— Ja w sprawie pani syna — odparł jak umiał najłagodniej. — Pragnąłbym zadać pani kilka pytań na jego temat.

— Więc wreszcie coś się ruszyło z rehabilitacją Waldka! — wyblakłe policzki staruszki nieoczekiwanie poróżnowiały. — Zawsze wierzyłam, że prawda wyjdzie na jaw. Nawet kiedy syn pogodził się już z losem, ja nie dawałam za wygraną. Niech pan tylko pomyśli! dwa lata zabrane z życia przez nędzną intrygę kilku hochsztaplerów, którym udało się otumanic sąd!

— Otumanic sąd? — powtórzył niemal bezwiednie porucznik.

— Już ja wiem, co mówię! — gniewnie pogroziła pięścią niewidocznym przeciwnikom. — Całą winę zwalili na Waldka, a sami pochowali się po kątach... Ale teraz sprawiedliwość musi zatrumfować. Mój syn odzyska dobre imię, a ci, którzy wtrącili go do więzienia, poniosą zasłużoną karę!

Oficer chciał zaoponować, widząc jednak żarliwą wiarę Cieciewiczowej we własne słowa dał spokój. Nie miał jakoś serca pozbawiać staruszki złudzeń.

— Na razie nie można jeszcze niczego przesądzać — bąknął oględnie.

— Pisałam w sprawie Waldka do sędziów, adwokatów, a w końcu nawet do samego ministerstwa — ciągnęła dalej, nie zwracając już uwagi na Mazurka. — Najczęściej w ogóle nie dostawałam odpowiedzi. Moja przyrodna siostra, Pazińska, twierdziła, że brak mi piątej kleпки. Syn też nie chciał słuchać o żadnych odwołaniach, kiedy odwiedził mnie w zeszłym tygodniu, po wyjściu z więzienia... Ale wkrótce wszyscy się przekonają, kto miał rację!

— A kto, pani zdaniem, ponosi odpowiedzial-

ność za niesłuszne skazanie pana Cieciewicza? — funkcjonariusz spróbował naprowadzić rozmowę na właściwe tory. — Rozmawiała pani z synem na ten temat?

— Waldek opisał mi w listach przebieg całego procesu — wyjaśniła skwapliwie. — Nigdy nie trafiłby do więzienia, gdyby nie jego kolega z pracy.

— Pamięta pani nazwisko tamtego człowieka?

— Oczywiście, że tak! — w oczach staruszki pojawiły się groźne błyski. — Do końca życia będę go przeklinała i każdemu powiem, że Stefan Borodicz to bardzo zły człowiek!

— Przepraszam, że pytam, ale czy pani syn żywił wobec niego równie wrogie uczucia?

— Trudno przecież traktować inaczej takiego niegodziwca!

— Nie myślał o zemście?

Poniewczasie porucznik ugryzł się w język, ale nie był już w stanie cofnąć zbyt obcesowego pytania. Co gorsza — zniweczyło ono wysiłki oficera, zmierzające do zdobycia zaufania Cieciewiczowej.

— Pan też jest przeciwko Waldkowi? — popatrzyła na milicjanta z nie tajonym zawodem. — Bóg, dlaczego ludzie są tacy podli?!

— Ależ proszę pani...

— Dostyc! Niech mnie pan zostawi w spokoju! — zażądała z determinacją. — Niech pan sobie idzie... A synowi nawet o panu nie wspomnę!

Mazurek wymamrotał kilka słów pożegnania i o nic już więcej nie pytając wycofał się śpiesznie z pokoju. Było jasne, że dalsze przeciąganie rozmowy z Cieciewiczową nie miałyby sensu. Zresztą porucznika czekała jeszcze wizyta w pobliskiej Białolece.

Zakład karny dzieliły od Domu Rencisty nie więcej niż jakieś trzy kilometry. Za to dotarłszy już do pawilonu, w którym mieściły się pokoje służące do przesłuchań, oficer musiał czekać na doprowadzenie Antoniego Palucha przeszło godzinę.

Były konserwator aparatury nagłaśniającej okazał się wysokim, postawnym mężczyzną koło czterdziestki, o niskim czole i ziemistej cerze. Obciążony więziennymi drelich przepisowo stanął w progu na baczność i nie bez zdziwienia popatrzył na Mazurka.

— Siadajcie, Paluch! — porucznik zapraszają-

cym gestem wskazał przybyłemu krzesło. — Mamy trochę do pogadania.

— Niby o czym? — mruknął więzień nieufnie. — Do końca odsiadki zostały mi wszystkiego dwa miesiące, grzywnę spłaciła rodzina, a od pół roku nie podłapałem ani jednego karnego raportu.

— Co zamierzacie robić na wolności?

— Spróbuję wrócić do zawodu. Wprawdzie koncesji na własny warsztat raczej mi nie dadzą, ale gdzieś się chyba zaczepię.

— O lampy, tranzystory i oporniki teraz jeszcze trudniej, niż przed dwoma laty...

— Spokojna głowa, że drugi raz już w nic się nie dam zrobić! — po twarzy przesłuchiwanego przemknął bliżej nie określony grymas. — Wtedy na gwałt potrzebowałem półdeszów, a Cieciewicz oferował dobry towar po przystępnej cenie i zaręczał, że sprawa jest nie do wykrycia. Byłem naiwny, skusiłem się... W ostatecznym rachunku zbyt wiele mnie to jednak kosztowało, bym kiedykolwiek znowu zaryzykował.

— W jakich okolicznościach poznaliście zaopatrzeniowca Zakładów Elektrotechnicznych?

— Kiedyś trafiłem do tej firmy, żeby wyciągnąć trochę buble na część. Dyrektor wołał oddać braki pod młotek, niż sprzedać prywaciarzowi, więc odszedłem z kwitkiem. Mimo wszystko dalej usiłowałem coś załatwić i wtedy napatoczył się Cieciewicz.

— Poprosiliście go o dostarczenie kradzionych podzespołów?

— Gwoli ścisłości to on wystąpił z propozycją... Ale po co rozpamiętywać starą historię? — Paluch ostantacyjnie machnął ręką. — Było, minęło...

— Historia faktycznie nie jest najnowsza — odparł sucho oficer — jednakże dziwnym zbiegiem okoliczności jeden z jej bohaterów ponownie znalazł się w orbicie zainteresowań milicji.

— Czyżby Cieciewicz znowu podpadł? — w oczach więźnia pojawiło się nagle coś w rodzaju złośliwej satysfakcji. — Przecież dopiero co go puścili?

— Na razie to jeszcze nic pewnego — przezornie zaznaczył Mazurek — ale kto wie...

— Więc jednak! — Paluch nie ukrywał już swego zadowolenia. — Taki był z niego spryciarz! W śledztwie i na procesie wszystkich wykołował, wyszedł z pudła przede mną, mimo że miał siedzieć pół roku dłużej, a tu proszę!

— Zaopatrzeniowiec wyprowadził w pole mili-

cję i sad? — powtórzył porucznik, czując ogarniające go podniecenie. — Co macie na myśli?

Przesłuchiwany zagryzł wargi i przez kilka sekund jak gdyby się wahał, ale widać było, że niechęć do dawnego współnika z wolna bierze górę nad nieufnością w stosunku do świeżo poznanego funkcjonariusza.

— A powiem! — wyrzucił w końcu z siebie z niepohamowaną złością. — Już dawno powinienem się na to zdobyć. Nie Cieciewiczza puściliby teraz jako pierwszego, tylko mnie!

— Czyżby? — oficer zmusił się, by w jego głosie dominował sceptycyzm.

— Mieliście wszyscy bielmo na oczach. Zamiast nas dwóch, trzeba było przymknąć koleśków zaopatrzeniowca.

— Co takiego?!

— Głowę daję, że facet kombinował jeszcze z kimś z tych pieprzonych Zakładów Elektrotechnicznych.

— Pamiętacie, co to był za jeden?

— Nigdy go nawet nie widziałem — więzień bezradnie rozłożył ręce. — Kiedyś tylko Cieciewicz wygadał się przy wódce, że lampy i tranzystory dostarcza mi dzięki układowi z kumplem z pracy. Ot i wszystko!

— Nie wspominał imienia albo nazwiska?

— Zaraz, zaraz... — Paluch zmarszczył brwi, przez moment zastanawiając się nad czymś intensywnie. — Mam! — ucieszył się nagle. — To chyba chodziło o jakiegoś Mundka, czy Edka...

— Czy zaopatrzeniowiec, utrzymywał z nim bliższe kontakty również i na stopie towarzyskiej?

— Tego nie wiem.

— A więc szukaj wiatru w polu — westchnął Mazurek. — Szkoda... Ale cóż, dziękuję i za tyle.

— Bóg mi świadkiem, że chętnie wyrównałbym z Cieciewiczem rachunek za tę skróconą odsiadkę — wyznał przesłuchiwany z cyniczną wprost szczerością. — Niestety, łączyły mnie z facetem jedynie interesy i nie znam ludzi z jego otoczenia. Chociaż... chwileczkę! — nieoczekiwanie stuknął się w czoło. — Przecież on blisko rok siedział z Felkiem Powalskim!

— Z kim?

— Moim dawnym znajomym. Trzy miesiące temu spiknęliśmy się na spacerze i stąd wiem o wszystkim.

— Wasz kolega jeszcze siedzi?

— Ma to już za sobą. Niedawno przysłał mi nawet pocztówkę.

— Gdzie mógłbym go znaleźć?

— Mieszka na Śmiałej, u niejakiej Anki Dolińskiej. To jego przyjaciółka jeszcze z dawnych czasów.

— Zaraz do niej zajrzę.

— Miałbym tylko małą prośbę — więzień jak gdyby się zawahał.

— Słucham?

— Niech pan nikomu nie mówi, że to ja podałem panu adres.

— Jasna sprawa! — bez zastanowienia obiecał porucznik. — Dyskrecja zapewniona!

W drodze powrotnej do Warszawy oficer nie oszczędzał służbowego fiata, z przymrużeniem oka traktując znaki ograniczające prędkość. Mimo to szarżało już, kiedy dotarł na ulicę Śmiałą. Zaparkował samochód przed nie najwyższym, choć w miarę schłodnie wyglądającym blokiem i zaczął metodycznie penetrować klatki schodowe, wypatrując na listach lokatorów nazwiska Dolińskiej. Za trzecim podejściem dopisało mu szczęście. Dziarskim krokiem ruszył na pierwsze piętro, w połowie schodów uprzytomnił sobie jednak, że informacje uzyskane od Palucha mogą okazać się niewystarczające do przeprowadzenia „męskiej” rozmowy z przyjaciółką Powalskiego. Na moment przystanął niezdeterminowany. Zdawał sobie sprawę, że czas nagli, ale z drugiej strony każde niepremyślane przedsięwzięcie mogło niepotrzebnie skomplikować śledztwo...

Nagle Mazurek przypomniał sobie o pobliskiej restauracji „Balaton”. Z restauracją sąsiedował bar, w którym często przesiadywali liczni przedstawiciele żoliborskiego półświatka. Powalski i Dolińska musieli być znani w tym środowisku, porucznikowi przyszło więc do głowy, że nie zawadzi zasięgnąć na ich temat języka. Nie wahając się dłużej zbiegł ze schodów i ruszył śpiesznie w kierunku skrzyżowania Śmiałej i Zajęczka.

Kilka minut później wkraczał już do obszernej, ale niemilosiernej zatłoczonej i ciemnej od papierosowego dymu salki. Rozpinając płaszcz zlustrował wnętrze baczny spojrzeniem. Jakiś wysoki, chudy jak szczapa blondyn o mocno podejrzanej fizjonomii uklonił mu się z przesadną kurtuazją. Dwaj inni dobrze podpici bywalcy baru również poznali oficera, wołając jednak uniknąć bliższego z nim kontaktu zaczęli wycofywać się w przeciwną stronę kąt salki. Funkcjonariusz zastanawiał się właśnie, którego z trzech znanych sobie krymina-

listów wziąć na spytki, kiedy spostrzegł siedzącego na wysokim stołku drobnego, niechlujnie ubranego mężczyznę o czerwonosinej, poranej licznymi bruzdami twarzy. Siwoń z widocznym żalem spoglądał na stojące przed nim opróżnione butelki po piwie. W pewnym momencie podniósł jedną z nich, jak gdyby chciał sprawdzić, czy nie została w środku choć kropla płynu.

To zdopingowało Mazurka. Kupił dwa piwa i widząc, że ktoś zwolnił właśnie miejsce obok Siwonina, bez namysłu ulokował się na sąsiednim stołku.

— Kogo ja widzę! — zagadnął niemal przyjaźnie. — Koję lat...

— Moje uszanowanie kościanej władzuni — ochryple wymamrotał bywalec baru. — Najniższe ukłony...

— Kiepsko coś wyglądasz.

— Cóż, starość nie radosć — Siwoń żałośnie pociągnął nosem. — Lat nie ubywa, a i choróbska okrutnie człowieka męczą.

— Gdybyś pół życia nie spędził w kryminale, zdrowie by ci nie szwankowało.

— Miałem pecha.

— Raczej lepkie palce.

— Po co wypominać stare dzieje? — w głosie kryminalisty zadźwięczała nutka urazy. — Było, minęło...

— Niby racja — ustąpił oficer, sięgając leniwym ruchem po piwo. — Od roku ani razu nie podpadłeś.

— A widzi pan! — Siwoń jak urzeczony wlepił wzrok w trzymaną przez Mazurka butelkę. — Ja teraz wolę z władzą żyć w zgodzie.

Porucznik pociągnął kilka łyków i nie odstawiając piwa ostentacyjnie oblizwał wargi.

— Zawsze mówiłem, że nie ma jak małe jasne! — cmoknął z uznaniem. — Człowiek sobie łyknie i zaraz mu lżej na duszy.

— Święte słowa...

— A ty się nie napijesz?

Kryminalista głośno przelknął ślinę, spoglądając na oficera z nadzieją, ale i niedowierzaniem zarazem.

— Jeśli by mi pan władza postawił... — wybąkał prosząco.

— Splukałeś się, biedaku? — zauważył Mazurek z udanym współczuciem. — No cóż, może bym ci postawił, ale przysługa za przysługę...

Ostatnie słowa porucznika podziałały na bywalca baru niczym kubek zimnej wody. Siwoń skurczył się na stołku i gwałtownie potrząsając głową zastonił rękami twarz.

— Za taką przysługę w zeszłym miesiącu polecieli Klusikowi mojką po gębie — mruknął ponuro. — Wolę już nie pić tego piwa.

— Twoja sprawa...

Oficer pociągnął znów kilka łyków z butelki i odstawivszy ją sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Namacał pomięty banknot. Wyjął go i pieczołowicie rozprostowawszy przedarł na pół. Jedna część dwustuzietówki powędrowała z powrotem do kieszeni, a drugą spróbował Mazurek nalepić na nie napoczętej butelce piwa. Szkło było wilgotne, tak że wysiłki porucznika rychło zostały uwieńczone powodzeniem. Teraz opatrzoną niecodzienną etykietą butelkę oficer podsunął pod sam nos kryminaliście.

— Pij, chłopie! — rzucił zachęcająco. — Niech już będzie moja strata!

Siwoń chciał coś odpowiedzieć, pokusa okazała się jednak zbyt silna. Po chwili wahania chwycił butelkę i opróżnił ją jednym haustem. Ocierając usta uśmiechnął się z widocznym zadowoleniem, ale po kilku sekundach znowu spochmurniał nie mogąc oderwać wzroku od przedartego banknotu. Przez kilkanaście sekund na twarzy kryminalisty malowała się wyraźna rozterka. Dopiero kiedy Mazurek dopiwszy swoje piwo zsiadł ze stołka i bez słowa skierował się do wyjścia, Siwoń nie wytrzymał.

— Co chciałby pan wiedzieć? — wychrypiął głośno.

— Dwa kroki stąd mieszka niejaka Dolińska — beznamyślnie przystąpił do rzeczy porucznik sadowiąc się z powrotem na wysokim, barowym stołku. — Podobno dziewczyna kręci z Felkiem Powalskim...

— To i owo obilo mi się o uszy.

— Ostatnio spiknęli się oboje z Waldkiem Cieciewiczem.

— Nie znam człowieka — nazwisko byłego zaopatrzeniowca nie wywarło na Siwoniu żadnego wrażenia. — On chyba nietutejszy.

— Dopiero co wyszedł z pudła, a przedtem mieszkał na Pradze.

— Chce go pan znowu namierzyć?

— Właśnie.

— Spróbuję pogadać z ludźmi...

— Mnie się śpieszy.

— Więc niech pan władza zapyta Felka albo Ankę, skoro dostał pan cynk, że razem kombinują.

— Musiałbym mieć na któreś z tej dwójki niezłego haka.

— Powalskiego nikt nie sypnie...

— Znaczy, że następne piwko wypiję już bez towarzysza — oficer wzruszył ramionami. — Za twoje zdrowie, Siwoń!

Kryminalista zmełł w ustach jakieś przekleństwo i przez moment spoglądał niepewnie to na przedarty banknot, to na funkcjonariusza. W końcu jednak resztki przestępczej solidarności musiały prysnąć w jego sumieniu, bo z rezygnacją machnął ręką.

— Powiem panu — ustąpił, konfidencyjnie ścisząc głos. — Przedwczoraj Felek załatwił jednego pijaczka pod „Kosmosem”.

— I co?

— Normalnie — Siwoń głupkowato zachichotał. — Dał mu po ryju i przyłożył kopa w dupę.

— Dolińska była przy tym?

— A jakże!

— Przetrasnęli facetowi kieszenie?

— Powalski rąbnął mu zegarek. Nie powiem, cacany sikor! — mimowolnie cmoknął ze szczerym uznaniem. — Japoński automat na metalowej bransoletce...

Dwadzieścia minut później Mazurek był już ponownie na klatce schodowej domu, w którym na pierwszym piętrze mieszkała Dolińska. Na moment zatrzymał się pod drzwiami. Z mieszkania, dobiegały dźwięki jakiejś nadawanej przez radio melodii, co świadczyło, że lokatorka jest na miejscu. Energicznie zapukał. W środku musiano go usłyszeć, bo radio ucichło, ale o dziwo nikt się nie kwapił, żeby otworzyć. Po kilkunastu sekundach bezskutecznego oczekiwania porucznik ponowił pukanie. Niemal w tej samej chwili z mieszkania dobiegł go jakiś szmer, jak gdyby ktoś na palcach poruszał się po przedpokoju. Zniecierpliwiony przyłożył pięścią w drzwi.

— Milicja! — krzyknął. — Otwieracie!

Poskutkowało. Metalicznie szczęknęła zasuwka i w uchylonych drzwiach pojawiła się wysoka, dość zgrabna szatynka w zgnilozielonym swetrze i wytartych, poplamionych dżinsach. Sądząc po figurze nie przekroczyła jeszcze trzydziestki, choć zniszczona twarz i wory pod oczami postarzały ją przynajmniej o dziesięć lat.

— Pan władza do mnie? — bąknęła z niezbyt udolnie maskowanym strachem. — To chyba jakaś pomyłka...

— Może do ciebie, a może do twego fagasa! — odparł podniesionym głosem i bezceremonialnie

odsunawszy na bok Dolińską wkroczył do przedpokoju. — Felek w domu?

— Jaki Felek? — udała zdziwienie. — Musiał pan pomylić adresy.

— Co ty powiesz? — uśmiechnął się ironicznie. — Nigdy bym na to nie wpadł.

— Bóg mi świadkiem, że nie znam żadnego Felka!

— Masz cholernie kiepską pamięć. Ciekawe, czy poprawi ci się ona w komendzie.

— Pan chce mnie zamknąć?! — Dolińska cofnęła się odruchowo w kąt przedpokoju. — Niby dlaczego? Przecież po tej odsiadce w zeszłym roku ani razu już nie podpadłam!

— Ejże? — beznamiętnie wzruszył ramionami. — A co było przedwczoraj pod „Kosmosem”?

Strzał okazał się celny. Przyjaciółka Powalskiego nerwowo zagryzła wargi, najwyraźniej tracąc panowanie nad sobą. Jeszcze przez chwilę czyniła rozpaczliwe wysiłki, by znaleźć jakąś sensowną odpowiedź, w końcu jednak wyraźnie zmiękła.

— Ja nie miałam z tym nic wspólnego! — zapewniła płacząco. — Przysięgam panu, że stałam dobre sto metrów dalej, kiedy tamten facet wyszedł z knajpy.

— Czyżby pobili go i okradły krasnoludki? — zachnął się oficer. — Uwważaj, mała, bo ja cholernie nie lubię, kiedy ktoś robi ze mnie balona!

— Panie władzo...

— Tylko nie lżyj!

— Kiedy jak Boga kocham... — pokonując strach podbiegła do Mazurka i chwyciła go kurczowo za rękaw. — To nie ja... To ten bydlak Powalski... Ja nie miałam z tym nic wspólnego!

— Więc jednak się znacie? — podchwycił porucznik nią bez złośliwej satysfakcji. — Proszę, proszę...

— Felek mieszka u mnie od dwóch miesięcy — wyznała ze skruchą. — Po wyjściu z pudła nie miał się gdzie podziać, więc go przyjąłem do siebie.

— A on w dowód wdzięczności rąbnął dla ciebie japoński zegarek?

— Nie chciał mi go nawet pokazać.

— Razem planowaliście tę robotę?

— Bóg mi świadkiem, że do ostatniej chwili o niczym nie miałam zielonego pojęcia! — zaprzeczyła stanowczo. — Wpadliśmy do „Kosmosu” na śledzika, wypiliśmy po pięćdziesiątce i mieliśmy wracać do domu, kiedy Powalski kazał mi wyjść na ulicę i poczekać po drugiej stronie Krasińskiego. Aż mnie zamurowało, jak pięć

minut później wytaszczyl się z tamtym pijakiem i zaczął go prać po głebie...

— Waldek Cieciewicz byl wtedy z Felkiem? — zaryzykował oficer.

— Ten mięczak? — odpaliła z nie ukrywana pogardą. — Skąd to panu przyszło do głowy?

— Słyszałem, że ostatnio Powalski kombinował coś z Cieciewiczem — brnął dalej Mazurek.

— Czy ja wiem? — Dolińska z wolna zaczynała odzyskiwać panowanie nad sobą. — Z Waldka zawsze wylazil inteligencik, a tacy nie pasują do grubszej roboty... A przedwczoraj nie bylo go pod „Kosmosem” — dorzuciła niejako w odpowiedzi na poprzednie pytanie porucznika.

— Widziałas go tego dnia?

— Z samego rana.

— A później?

— Wczoraj przyniósł do mnie swoje kłamoty.

— Nocował?

— Owszem.

— Jest więc nadzieja, że i dzisiaj tu się pojawi?

— Nie mam pojęcia.

— Innymi słowy nie pozostaje mi nic innego, jak poczekać na twoich znajomych — zdecydował oficer.

— Skoro pan musi — bąknęła, nerwowo wylamując sobie palce. — Tylko że to może potrwać...

— Nie szkodzi.

— Zaraz, zaraz! — nagle z ożywieniem stuknęła się w czoło. — Ja chyba wiem, gdzie ich teraz szukać.

— Tak?

— Byli z kimś umówieni w knajpie, o wpół do szóstej.

— Nie cyganisz?

— Żeby tak jutra nie doczekała! — żarliwie uderzyła się w piersi, ale czujne ucho Mazurka wylapało w jej głosie jakąś nieszczerą nutę. — Sama słyszałam, jak rano o tym mówili.

— Z kim mieli się spotkać?

— Tego nie wiem.

— A gdzie?

— Dwa kroki stąd, w „Balatonie”.

Porucznik zerknął na zegarek. Mijała właśnie siedemnasta. Gdyby Dolińska mówiła prawdę, szansa odnalezienia Cieciewicza w pobliskiej restauracji byla całkiem spora. Wprawdzie oficer nie dowierzał przyjaciółce Powalskiego, miał jednak nadzieję, że w razie czego nie da się jej przechytryć.

— Ubieraj się, Anka! — rzucił ostrym, nie znośącym sprzeciwu tonem. — Idziemy!

— Dokąd?

— Jeśli Waldek i Felek będą w knajpie, włos ci z głowy nie spadnie — wyjaśnił beznamiętnie.

— A jak nie przyjdą?

— Zafunduję ci kolację i noc pełną wrażeń — parsknął kpiąco. — W komendzie.

Groźba musiała okazać się skuteczna, bo Dolińska już nie oponowała. Posłusznie włożyła płaszcz i w ślad za funkcjonariuszem ruszyła na ulicę.

Kilka minut później znaleźli się w restauracyjnej szatni. Mazurek mrugnął zachęcająco do swej towarzyszki. Ta podsunęła się ostrożnie do drzwi prowadzących na salę. Przez kilkanaście sekund lustrowała wewnątrz baczny spojrzeniem, nie spostrzegła tam jednak widać nikogo znajomego, bo na jej twarzy pojawiło się rozczarowanie.

— Jeszcze ich nie ma — zakomunikowała porucznikowi ze smutkiem. — Musi pan chwilę poczekać.

— Chyba dotrzymasz mi towarzystwa?

— Panie władzo! — błagalnym gestem złożyła ręce, a w jej oczach ponownie pojawił się strach. — Przecież Felek obedrze mnie ze skóry, kiedy się kapnie, kto go przypuściwał!

Nie panując nad sobą zrobiła krok w kierunku wyjścia z restauracji. Teraz oficer byl już niemal pewien, że przyjaciółka Powalskiego gra przed nim komedię, uznał jednak, że lepiej nie dać niczego poznać po sobie.

— No dobrze — ustąpił bez dalszej dyskusji. — Zmiataj, Anka, do chałupy. I oboje zapomnijmy, w jaki sposób trafiłem do tej knajpy.

Odetchnęła z wyraźną ulgą i nie zegnając się wybiegła na ulicę. Mazurek został w szatni sam. Oczekał chwilę i zbliżywszy się do wyjścia wyrzwał ostrożnie za Dolińską. Ta szła szybko w kierunku swego bloku, ale porucznik nie dał się zwieść pozorom i kiedy zniknęła za rogiem, bez wahania opuścił restaurację. Pierwsze pięćdziesiąt metrów pokonał prawie biegiem. Wysilek opłacił się, bo funkcjonariusz zdążył jeszcze spostrzec, jak przyjaciółka Powalskiego znika w wejściu do swojej klatki schodowej. Ruszył chyłkiem w kierunku zaparkowanego nie opodal służbowego fiata. Wsunął się do środka i włączył radiotelefon. Po kilku sekundach w słuchawce zachrobotał znajomy głos oficera dyżurnego komendy.

— Jestem pod „Balatonem” — zameldował Mazurek nie bawiac się w regulaminowe zwroty. — Mam na oku niejaką Ankę Dolińską.

— Przysłać ci drugi wóz?

— Jeszcze nie teraz.

— Na wszelki wypadek przygotowuję posiłki, a ty w razie czego daj mi znać.

— Jasne.

Nie wyłączając radiotelefonu porucznik odłożył słuchawkę i ponownie zerknął w stronę klatki schodowej, w której zniknęła przyjaciółka Powalskiego. Od bramy dzieliło go dobre sto pięćdziesiąt metrów, ale odległości tej nie uznał za wystarczająco bezpieczną. Po krótkim namyśle uruchomił silnik i bez pośpiechu zaczął wycofywać samochód. Skręcił właśnie za róg, kiedy z bloku wyszła Dolińska. Nerwowo rozejrzała się dookoła i nie spostrzegłszy widać niczego podejrzanego podbiegła w kierunku ulicy Mickiewicza. Po chwili dotarła do przystanku. Od Śródmieścia nadjeżdżał właśnie tramwaj. Jeszcze raz obejrzała się za siebie i w ostatnim momencie wskoczyła do pierwszego wagonu. Ruszając za tramwajem Mazurek sięgnął po słuchawkę radiotelefonu.

— Dziewczyna jedzie „piętnastką” na Bielanym — poinformował rzeczowo oficera dyżurnego. — Teraz przydałby mi się ktoś do pomocy.

— Na placu Komuny Paryskiej czekają Rawski i Sędzisz — szczerknelo w słuchawce. — W wozie jest z nimi Dylski. Jeśli wcześniej nic się nie wydarzy, chłopak przesiądzie się do ciebie przy Potockiej.

— Zrozumiałem.

— Powodzenia!

Dwa przystanki dalej porucznik poczuł się znacznie różnie. Nie miał wprawdzie czasu wypatrywać obiecanych posiłków, wiedział jednak, że od tej chwili pilotują go już koledzy z komendy...

Ani przy placu Komuny Paryskiej, ani później, na Słowackiego, Dolińska nie wysiadła. Teraz oficer przyspieszył i wyprzedzwszy tramwaj skręcił pod stację benzynową przy Potockiej. W lusterku zauważył pozornie nie-wyróżniającego się niczym, ciemnego fiata z cywilną rejestracją. Tamten niespodziewanie wyprysnął niczym pocisk wyrzucony z katapulty i zrównawszy się z samochodem Mazurka ostro przyhamował. Tylne drzwi fiata otworzyły się i na jezdnię wyskoczył niewysoki, barczysty mężczyzna w skórzanej kurtce. Chwilę później kapral Dylski siedział już obok porucznika.

Bez pośpiechu wyjechali na Marymoncką. Oficer chciał właśnie wyjaśnić koledze kilka szczegółów dotyczących prowadzonej obserwacji przyjaciółki Powalskiego, ale nagle bardziej wyczuł niż zauważył, że dzieje się coś niedobrego. Tramwaj, w którym powinna znajdować się Dolińska,

zasłoniła nadjeżdżająca od strony Bielan „szóstka”. Mazurek odruchowo przyhamował. „Piętnastka” ruszyła, a i drugi tramwaj zadzwonił na znak, że za moment zamknie drzwi. Niemal w tej samej chwili porucznik dostrzegł przyjaciółkę Powalskiego. Niespodziewanie zwinnie pokonała ona płotek oddzielający oba torowiska i wskoczyła do „szóstki”. Tramwaj ponownie zadzwonił i zamknąwszy drzwi ruszył w kierunku Śródmieścia.

Oficer zdusił w sobie szpetne przekleństwo.

— Trzymaj się! — krzyknął do Dylskiego i nie zwracając uwagi na wyprzedzające ich samochody gwałtownie skręcił w lewo. Jakiś mały fiacik zatańczył na jezdni niczym dziecinny bączek, czarna wołga wpadła z piskiem hamulców na chodnik, ale do zderzenia dziwnym zbiegiem okoliczności nie doszło. Mazurek dodał gazu i radiowóz pokonawszy trawnik między dwoma jezdniami Marymonckiej pomknął w pościg za oddalającym się tramwajem. W efekcie, kiedy „szóstka” dotarła do kolejnego przystanku, milicyjny samochód dzieliło od niej niespełna dwadzieścia metrów.

Dolińska znowu wysiadła. Porucznik zwołnił, obserwując z rosnącym niepokojem przystanek. Na szczęście tym razem nie wydarzyło się nic, co zmusiłoby go do karkołomnych wyczynów za kierownicą. Kobieta rozejrzała się uważnie i po chwili wróciła do tylnego wagonu tramwaju.

— Co ona narozrabiała? — zainteresował się Dylski, który dotychczas ze stoickim spokojem znosił poczynania kolegi. — Uczepiłeś się, Michał, tej babki, jak rzep psiego ogona...

— Mam nadzieję, że zaprowadzi mnie do Powalskiego albo Cieciewicza.

— Tego pierwszego legitymowałem kilka dni temu w związku z jakimś draką — przypomniał sobie kapral. — Niestety nie było wtedy na niego żadnego haka.

— A samą Dolińską zdążyłeś sobie obejrzyć?

— O tyle o ile. Czemu pytasz?

— Dobrze by było, gdybyś przesiadł się do tramwaju.

— Myślisz, że dziewczyna może się urwać?

— Diabli ją wiedzą — westchnął oficer. — Próbowala przy Potockiej, więc nie dam głowy, czy znowu czegoś nie wymyśli.

Przed placem Inwalidów Dylski wyskoczył z radiowozu i pobiegł na przystanek. Chwilę później Mazurek spostrzegł, jak kolega wsiada do szóstki. Przez kolejny kwadrans nic się nie działo.

Radiowóz Rawskiego jechał jakieś trzydzieści metrów za porucznikiem, Dolińskiej nie było wśród wysiadających na żadnym z przystanków, a kapral tkwił niezmiennie na swym posterunku z tyłu przedniego wagonu.

Minęli Dworzec Wileński. Ludzi w tramwaju przybyło i Dyłski nie chcąc stracić z oczu obserwowanej przesiadki się do tylnego wagonu. Przejechali jeszcze dwa czy trzy przystanki i nagle oficer poczuł dreszczyk emocji. Przyjaciółka Powalskiego wysiadła, kierując się na przeciwną stronę ulicy Grochowskiej. Moment później skręciła w pierwszą przecznicę. Mazurek bez namysłu dodał gazu i w ciągu kilkunastu sekund dotarł do najbliższego skrzyżowania. Pałilo się czerwone światło, ale nie zwrócił na to uwagi, zmuszając jakąś wyładowaną węglem ciężarówkę do gwałtownego hamowania. Z piskiem opon wyskoczył na drugą jezdnię. Kilku przerażonych przechodniów rozpierchło się przed maską radiowozu. Ponownie dodał gazu i po chwili osiągnął uliczkę, w której zniknęła Dolińska. Skręcając bezceremonialnie zjechał drogę taksówkarzowi. Usłyszał ryk klaksonu i westchnął z poczuciem winy. Stanowczo zbyt często kusił los przez ostatnie pół godziny...

Niespełna pięćdziesiąt metrów dalej było kolejne skrzyżowanie. Porucznik przyhamował, rozglądając się niepewnie. Z wściekłością zmełł w ustach przekleństwo. Przyjaciółka Powalskiego zniknęła gdzieś bez śladu, a na domiar złego w najbliższej okolicy nie było również widać i kaprała. Oficer pojechał dalej prosto, a na kolejnym skrzyżowaniu skręcił w prawo. Kątem oka spostrzegł wjeżdżający w sąsiednią uliczkę radiowóz Rawskiego. To go podniosło nieco na duchu. W końcu nie szukał Dolińskiej sam...

Przez kilka minut błądził po ciasnych, praskich uliczkach. Wreszcie zdecydował się wracać na Grochowską. Skręcił w jakąś szerszą przecznicę. Kawalek dalej na poły przepalony neon zachwalał obiady i kolacje „Pod Łosiem”. Sam lokal mieścił się w obdrapanej, jeszcze przedwojennej sądząc z wyglądu kamienicy. Mazurek podjechał bliżej i nagle odetchnął z wyraźną ulgą. Do restauracji zmierzala właśnie szybkim krokiem Dolińska.

Zatrzymał radiowóz i prawie biegiem ruszył za obserwowaną. W szatni znalazł się w chwilę po przyjaciółce Powalskiego.

— Pomyliłaś knajpy, trując mi o „Balatonie”? — rzucił drwiąco. — A może wydawało ci się, że wystrychniesz mnie na dudka?

W wejściu pojawił się zasapany Dyłski. Bez słowa minął Dolińską i podszedłszy do drzwi prowadzących na salę zajrzał do niej ciekawie. Po chwili odwrócił się z szerokim uśmiechem na ustach.

— Felek Powalski siedzi przy trzecim stoliku — zakomunikował rzeczowo. — Jest sam.

— Zabierz tę małą do wozu — porucznik miał już w głowie gotowy plan dalszego działania. — Wywołaj przez radiotelefon Rawskiego i ściągnij go pod knajpę. Jeśli w okolicy pojawi się Cieciewicz, pozwólcie mu wejść do środka.

Powalski siedział samotnie przy stoliku z trzema nakryciami, butelką wódki i jakąś zimną zakąską. W pierwszym momencie nie zwrócił uwagi na funkcjonariusza i dopiero kiedy ten bezceremonialnie zajął sąsiednie krzesło, przyjaciel Dolińskiej popatrzył na niego z nie tajonym zdziwieniem

— Pan tu czego? — zapytał niechętnie. — Nie widzi pan, że wszystkie miejsca zajęte?

— Góra z górą! — Mazurek ostentacyjnie zignorował słowa Powalskiego. — Właśnie miałem ochotę z tobą pogadać i dziwnym trafem spotykamy się w pierwszej knajpie, do której zajrzałem.

— Nie znam pana — odparł przyjaciel Dolińskiej z nie tajoną wrogością. — Pierwszy raz pana widzę.

— A to błąd! — porucznik uśmiechnął się ironicznie. — Błąd, który może cię sporo kosztować!

— Pan z milicji?

— Więc jednak robisz postępy...

— O co panu chodzi?

— Jak myślisz?

— Nie mam pojęcia.

— Drugi błąd! — uśmiech zniknął z twarzy oficera. — Przysłowie powiada, że do trzech razy sztuka.

— Czego pan chce? — Powalski usiłował zachować spokój, ale nerwowo drgające kąciki ust zdradzały narastające w nim napięcie. — Przecież ostatni wyrok odsiedziałem co do grosza!

— Następny też odsiedzisz...

— Pan mnie przyknie? — przyjaciel Dolińskiej gwałtownie poblądł, tracąc resztki panowania nad sobą. — Ale za co?

— Pokaż no zegarek! — zażądał funkcjonariusz ostrym, nie znoszącym sprzeciwu tonem. — Chyba nie zdążyłeś go jeszcze opylić?

— Nie rozumiem! — Powalski zdziwił się,

wypadło to jednak zgola nieprzekonywająco. — Jaki znowu zegarek?

— Ten, który zabrałeś przedwczoraj pijanemu facetowi.

— Gdzie?

— Pod „Kosmosem”.

— Pan musiał mnie z kimś pomylić.

— Nie sądzę, ale skoro tak twierdzisz... — Mazurek niespodziewanie ustąpił. — A póki co, porozmawiajmy o twoim kumplu — zmienił temat. — Waldek Cieciewicz również ma sporo na sumieniu.

— Może ma, a może i nie ma — odburknął Powalski. — Mnie nic do tego.

— Nie obchodzą cię kłopoty kolesia z jednej celi?

— W pudle poznałem nie tylko jego.

— Ale z Waldkiem dość często cię ostatnio widywano.

— No to co?

— Nie szykowaliście przypadkiem jakiegoś wspólnego skoku?

— Od ostatniej odsiadki nie w głowie mi żadne skoki.

— Przypuśćmy — porucznik udał, że przyjmuje słowa Powalskiego za dobrą monetę. — Niewykluczanie również, że gościem, o którego mi chodzi, nie jesteś ty, tylko Cieciewicz — dorzucił zachęcająco.

— Więc niech go pan szuka.

— Sęk w tym, że zmył się gdzieś bez śladu.

— Nic na to nie poradzę.

— Nie wiesz, gdzie się zamelinował?

Przyjaciół Dolińskiej pokręcił przecząco głową i chciał coś odpowiedzieć, ale nagle znieruchomiał, spoglądając w kierunku wejścia na salę. Oficer odwrócił się i spostrzegł zmierzającego do ich stolika szczupłego, bladego na twarzy mężczyznę.

— No, to jesteśmy w komplecie! — z nietajonym zadowoleniem zatarł ręce. — Właśnie czekaliśmy na ciebie, Cieciewicz!

VII

Mazurek bez pośpiechu przewrócił kilka kart w niezbyt grubej teczce akt i spojrział badawczo na siedzącego po drugiej stronie biurka Cieciewicza.

Tamten najwyraźniej był bardzo zdenerwowany. Niespokojnie wiercił się na krześle, raz po raz wyłamując sobie palce.

— No i co u was słychać, Cieciewicz? — zaczął porucznik z pozorną obojętnością. — Wyglądacie jakoś nieszczególnie.

— A jak mam wyglądać po nocy spędzonej na dołku — ponuro odparł zatrzymany. — Osobiście znam przyjemniejsze sposoby spędzania czasu!

— Woląłem nie ryzykować tracenia kolejnego dnia na uganianiu się za wami po całym mieście.

— Niby skąd mogłem wiedzieć, że mnie pan szuka?

— Nie macie stałego miejsca zamieszkania, utrzymujecie podejrzone kontakty, nigdzie nie podjęliście dotąd pracy...

— Teraz nie tak łatwo o przyzwoitą robotę — nieśmiało zaoponował Cieciewicz. — Zresztą dopiero mnie wypuścili.

— Ściślej rzecz biorąc, tydzień temu.

— W końcu na pewno gdzieś się załapie.

— A póki co trzymacie sztamę z kryminalistami w rodzaju Powalskiego?

— Nie mogę nocować pod mostem.

— Ale w ten sposób najłatwiej wrócić do więzienia.

— Znajdę pracę, to i pokój gdzieś sobie wynajmę — bąknął przesłuchiwany. — Niech mi pan wierzy.

— Nie próbowaliście wrócić do dawnej roboty? — jak gdyby nigdy nic zapytał oficer.

— Próbowałem.

— I co?

— Nie wyszło. Wszyscy patrzą tam na mnie wilkiem.

— Widać pamiętają jeszcze wasze dawne grzeszki.

— Prawdopodobnie.

— Kto was wtedy nakrył? — porucznik nieoczekiwanie zmienił temat. — Opowiedzcie, jak to było.

— Nie rozumiem? — Cieciewicz zagryzł nerwowo wargi. — Przecież odsiedziałem już wyrok. Jak długo można gnębić człowieka za jedno potknięcie?!

— Miałeś żal do Borodiczca, że cię wysłał do pudła ujawniając wyniki kontroli? — Mazurek przeszedł na ty, całkowicie zignorowawszy ostatnią wypowiedź przesłuchiwanego. — Było nie było dwa lata na więziennym chlebie, to średnia przyjemność...

— Jeśli miałem do kogoś żal, to przede wszyst-

kim do siebie, że jak dureń połakomilem się na te kilka groszy!

— Czy nikt w przedsiębiorstwie nie wiedział wcześniej o twoich machinacjach?

— Skądże znowu!

— Zapomniałeś o wspólniku...

— Jakim wspólniku? — zaprzeczył gwałtownie zaopatrzeniowiec. — Przecież już tysiąc razy powtarzałem, że kanty robiłem tylko z Paluchem! Nawet sędzia uwierzył, a pan od początku kręci mi dziurę w brzuchu?

— Widocznie tak trzeba.

Cieciewicz umilkł, wlepiając wzrok w podłogę. Na jego twarzy pojawił się wyraz zaciętego uporu. Porucznik był niemal pewien, że tamten coś ukrywa, nie umiał jednak skłonić przesłuchiwanego do szczerości.

— Kiedy ostatni raz widziałeś się z Borodiczem? — spróbował z innej beczki.

— W sądzie, podczas procesu.

— Czyżby?

— Nie myśli pan chyba, że odwiedzał mnie w więzieniu? — zaczepnie odparł Cieciewicz. — Taki samarytanin to on nie jest!

— On cię nie odwiedzał, ale ty się do niego wybrałeś.

— Niby kiedy?

— Trzy dni temu.

— Ależ panie władzo! — przesłuchiwany żywo zaoponował. — To nie było tak! Bóg mi świadkiem, że...

— Lepiej nie kręć! — niecierpliwie przerwał officer. — Mam świadków, którzy w razie czego odświeżą ci pamięć!

— Nie zamienilem z nim nawet jednego słowa! — powtórzył Cieciewicz z uporem. — Faktycznie widziałem faceta w sekretariacie u pani Zdrojeckiej, ale...

— Tak się dziwnie składa, że wkrótce potem Borodicz wyzionął ducha!

Słowa Mazurka wywarły iście piorunujące wrażenie na byłym zaopatrzeniowcu. Przesłuchiwany nie panując nad sobą poderwał się z krzesła, prawie jednak natychmiast z rezygnacją opadł na nie z powrotem i otarłszy zimny pot z pobladłych policzków wlepił otępiały wzrok w porucznika.

— Jezus Maria! — wyszeptał. — Pan chyba nie podejrzewa...

— Co robiłeś po wyjściu z sekretariatu?

— Nic. Po prostu wróciłem do domu.

— Kłamiesz!

— To znaczy nie od razu — strachliwie wyco-

fał się Cieciewicz. — Przedtem lażilem trochę po mieście...

— Do północy?! — officer wydał wargi w ironicznym uśmiechu. — Myślisz, że trafiliś frajera, który uwierzy w twój ośmiogodzinny spacer?

— Rozmawiał pan z Pazińską? — raczej stwierdził, niż zapytał były zaopatrzeniowiec. — Wstrętne babsko musiało panu wszystko wypaplać.

— A tobie się wydawało, że mnie wpuścisz w maliny?! — funkcjonariusz gniewnie podniósł głos. — Powiesz wreszcie, co robiłeś trzy dni temu, czy porozmawiamy inaczej?!

Przesłuchiwany aż skurczył się na krześle.

— Dobrze — powiedział łamiącym się głosem. — W końcu nie mam nic do ukrycia.

— Slucham!

— Po wyjściu od Zdrojeckiej wsiadłem w tramwaj i pojechałem na Śmiałą. Traf chciał, że Dolińską i Powalskiego akurat gdzieś poniosło i obiad musiałem zjeść sam.

— Gdzie?

— W „Balatonie”, tylko że nie w knajpie, a w barze.

— Spotkałeś tam kogoś znajomego?

— Niestety nie.

— I co było dalej?

— Przypomniałem sobie kumpla z mojej dawnej pracy, niejakiego Edka Mareckiego.

— Pojechałeś do niego?

— Owszem, ale znowu miałem pecha. Drzwi zastałem zamknięte na glucho, a że nie chciało mi się czekać, podskoczyłem do Śródmieścia. Mniej więcej koło siódmej dotarłem pod „Pewex” na Nowogrodzkiej.

— Wróćmy do twojej wizyty u Zdrojeckiej — przerwał Mazurek. — Wytłumacz mi, dlaczego nie pojawiłeś się więcej w przedsiębiorstwie, mimo że sekretarka miała cię umówić na rozmowę z dyrektorem?

— Doszedłem do wniosku, że to kiepski pomysł. Zresztą już wspominałem panu, jak tam wszyscy na mnie patrzyli...

— Więc po co zawracałeś głowę Zdrojeckiej?

— Idąc do biura zakładów myślałem, że wszystko się ułoży...

— Wymyśliłbyś już lepiej jakąś zgrabniejszą bajeczkę — porucznik nie tań swego sceptycyzmu. — Przecież to się, chłopie, kupy nie trzyma!

— Ja nie kłamię!

— Innymi słowy Borodicz zabił krasnoludki?!

Oficer miał zamiar dorzucić jeszcze kilka ciępkich uwag pod adresem zatrzymanego, zrezygnował jednak widząc, że otwierają się drzwi i do pokoju zagląda barczysty, niemłody już milicjant w mundurze plutonowego.

— Czego chcesz? — niecierpliwie sapnął Mazurek. — Nie widzisz, że jestem zajęty?

— Długo ci jeszcze zejdzie? — beznamiętnie zapytał podoficer. — Facet nie jadł śniadania — wskazał znacząco na Cieciewicza — a nikt później nie będzie spożywał dla niego pitrasić.

— Ja też nie jadłem — odburknął porucznik. — Ale dobrze! — zreflektował się prawie natychmiast. — Daj mu coś na ząb, to może trochę zmadrzeje...

Plutonowy skinął na zatrzymanego. Ten podniósł się bez słowa i chwiejnym krokiem ruszył do wyjścia. Wychodził właśnie na korytarz, kiedy w progu minął go zdyszany Pozorski. Chorąży trzymał pod pachą dwie różnej grubości teczki akt. Starannie zamknął za sobą drzwi, podszedł do biurka i ciężko opadł na krzesło zajmowane przed chwilą przez Cieciewicza.

— Wydusiłeś coś z niego? — zapytał Mazurka, kiwając znacząco głową w kierunku wyjścia.

— Nie żartuj! — Mazurek ironicznie wydał wargi. — Przecież w pudle nauczyli go, jak z nami rozmawiać.

— Może potrzymać faceta ze dwie doby i dopiero przycisnąć?

— Naczelnik się nie zgodzi. Już i tak dostałem sztorca, a wieczorem będę musiał ptaszka wypuścić.

— Dlaczego?

— Praktycznie rzecz biorąc nie mamy na niego nic oprócz motywu i braku alibi, a szef nie chce ryzykować.

— Znaczący kłapa na całej linii?

— Nie da się ukryć — przyznał ponuro oficer. — Chyba, że ty coś wygrzebałeś...

— Przyniosłem akta, o które prosiłeś — Pozorski niedbałym ruchem rzucił teczki na biurko. — Z materiałów procesowych wynika, że kanty Cieciewicza faktycznie ujawnił Borodicz. Zaopatrzeniowiec przyznał się do winy i sygnął Palucha. Ot i wszystko.

— Mądrzejsi to my od tego nie będziemy.

— Mam jeszcze coś ekstra...

— Gadaj!

— Pewne poszlaki wskazywały na udział w nadużyciach trzeciej osoby.

— Co takiego? — Mazurek aż podskoczył, przypominając sobie rozmowę z Paluchem. — Ustalono, kto to taki?

— Według danych operacyjnych w grę mógł wchodzić magazynier, niejaki Edward Marecki.

— Czemu nie trafił za kratki?

— Do niczego się nie przyznał, Cieciewicz ani Paluch nie chcieli go sygnąć, a dokumenty magazynowe miał facet w porządku.

— Nie było innych dowodów?

— Nie konkretnego.

— Uważasz, że Marecki i tym razem ma nieczyste sumienie?

— Dłbłi wiedzą — zamyslił się chorąży. — Na wszelki wypadek warto chyba jednak przejrzeć kąty w jego magazynie, a potem wziąć gościa na spytki.

— No, to szkoda czasu. Zrobimy tak...

Nagle hałaśliwie rozdzwonił się telefon. Porucznik przerwał zaczęłą myśl, niecierpliwym ruchem sięgając po słuchawkę.

— Słucham, Mazurek! — rzucił ostro.

Pozorski spojrzał pytająco na oficera. Ten przez moment słuchał uważnie. Gniewnie marszcząc się brwi i niezdrowe rumieńce na jego policzkach świadczyły wymownie, że wiadomość nie należała do pomyślnych.

— Kiedy?! — wykrztusił wreszcie nie swoim głosem. — Tak, rozumiem... Zaraz tam będę!

— Stało się coś? — z niepokojem zapytał chorąży.

— Mamy spóźniony zapłon — sarkastycznie skonstatował porucznik. — Marecki już nie nam nie powie. Powiesił się u siebie w magazynie.

VIII

— Aż mi dech w piersiach zaparło, kiedyś zobaczy! Przyszło mi do głowy, że może jeszcze nie całkiem sztywny. Złapałem kozik i odciąłem biedaka, ale jak pacnął na ziemię, zaraz się pokapowałem, że jemu już tylko księdza potrzeba...

Grudek był do tego stopnia przejęty swoim odkryciem, że Mazurek nie musiał go nawet zachęcać do zrelacjonowania zdarzenia. Stał przed wejściem do usytuowanego w rogu magazynu

mu oszklonego kantorka, po którym krzatali się dowodzeni przez Pozorskiego technicy. Porucznik słuchał uważnie, ale raz po raz niemal odruchowo zerkał przez szybę w stronę leżących pośrodku kantorka zwłok i kłęczącego przy nich lekarza.

— O której znalazł pan Mareckiego?

— Gdzieś tak po ósmej. Wczoraj mówił mi, że cieknie jakaś rura przy grzejniku, więc poszedłem zobaczyć.

— Umawiał się pan z nim na konkretną godzinę?

— Najpierw chciał, żebym sprawę załatwił od ręki, ale kto by się brał za coś takiego na godzinę przed fajerantem? W końcu stanęło, że wpadnę dzisiaj z samego rana.

— Nie zauważył pan, czy Marecki nie był czymś zdenerwowany albo podniecony?

— A niby czym miałby się denerwować? Przecież chyba nie tą cieknącą rurą! Zresztą gorzała zajeżdżała od niego na kilometr, a nawijał, że wieczorem jeszcze lepiej sobie popije — Grudek wskazał znacząco w stronę kantorka, gdzie na biurku stały: butelka po wódce, w połowie opróżniony słoik z ogórkami konserwowymi i szklanka.

— Nie chwalił się, w czym towarzystwie?

— Nawet go nie pytałem. W końcu to nie moja sprawa.

— Jak pan myśli, dlaczego się powiesił?

— Czy ja wiem? — Grudek bezradnie rozłożył ręce. — Może tak zaprawił, że wódka mu rozum odebrała...

— Często zaglądał do kieliszka?

— Dawniej, to nawet niespecjalnie. Od czasu do czasu przepiukał sobie gardło, ot i wszystko. Dopiero kiedy go żona rzuciła, zasmakował w gorzale. Raz i drugi zalał z koleśkami robaka, zaczął popijać u siebie w magazynie, a resztę może pan sobie dośpiewać.

— Wciągnęło go?

— Jeszcze jak! Gdzieś tak od wiosny już dnia nie było, żeby nie gołnął sobie lufki. Kilka razy tak się zaperfumował, że rano nie można go było docuć.

— Dyrekcja wiedziała?

— Jasna sprawa! Nie dalej jak miesiąc temu świętej pamięci pan Borodicz przyuważył go w robocie na niezłym rauszu. Nigdy za sobą nie przepadali, a jeszcze Marecki wyzwał Borodicza od alfonsów, więc ten poleciał na skargę do naczelnego.

— I cóż na to dyrektor Krzepik?

— Najpierw ciskał gromy i krzyczał, że magazyniera wyrzuci, w końcu jednak wszystko rozeszło się po kościach.

— Czyżby Marecki był w tej firmie na specjalnych prawach?

— Różnie ludzie gadali — Grudek stracił nagle ochotę do dalszej rozmowy. — Ale nie nam go teraz sądzić...

Uczył ruch, jak gdyby miał zamiar odejść, Mazurek zatrzymał go jednak jeszcze na moment.

— Coś pan wspominał o kłopotach rodzinnych Mareckiego.

— Podobno jego stara prysnęła z jakimś Szwedem za granicę.

— Gość nie miał krewnych, którzy by mu wtedy pomogli?

— Chyba nie. W każdym razie nigdy nie mówił o żadnej rodzinie.

— A z kim się najbliższymi przyjaźnił?

— Miał takiego kompana od kieliszka. Gość nazywa się Pręgola i też pracuje w magazynie, tyle że jako fizyczny.

— Widział go pan dzisiaj?

— Pewno ma wolne, bo jakoś mi nie wpadł w oko.

Porucznik zostawił Grudka ku wyraźnemu zadowoleniu tego ostatniego i ruszył do kantorka. Spostrzegł, że lekarz kończy właśnie wstępne oględziny zwłok, bez wahania podszedł więc do niego.

— No i co pan o tym sądzi? — zagadnął. — Kiedy nastąpił zgon?

— Wczoraj między siedemnaścią a dziewiętnaścią.

— Samobójstwo?

— Niewykluczone — lekarz nie był pewny swego. — Zrobię sekcję, to pogadamy.

— Mą pan jakies wątpliwości?

— Na razie nic konkretnego. Tak czy inaczej to już drugi trup w tej firmie, a ja nie wierzę w przypadki.

— Kiedy będzie pan gotów?

— Proszę wpaść albo zatelefonować po południu. A postronek radziłbym oddać do laboratorium — dorzucił, wskazując na przeciętą pętlę wisielczą. — Opinia eksperta może być całkiem interesująca...

Oficer chciał jeszcze o coś zapytać, ale jego uwagę zwróciło zachowanie Pozorskiego. Choraży wyciągnął właśnie z jakiegoś kąta krótką, niespełną trzydziestocentymetrową rurkę. Trzymając ostrożnie przez chustkę obejrzał ją ze

wszystkich stron i z wyrazem nie ukrywanej satysfakcji na twarzy ruszył do Mazurka i doktora.

— Tylko popatrzcie, co znalazłem! — zawołał gromko. — Idę o zakład, że tym żelastwem oberwał po głowie Borodziec!

— Dla pewności należałoby zbadać ślady krwi — lekarz zainteresował się wyraźnymi rdzawymi plamkami na końcu rurki. — Przydałaby się również ekspertyza mechanoskopijna. Porównanie fragmentów uszkodzonych kości czaszki Borodzieca z powierzchnią pańskiego znaleziska rozwiałoby wątpliwości...

— Bez badań specjalistycznych chyba się nie obejdzie — przytaknął porucznik. — Trzeba zabrać ten cały majdan do laboratorium.

Doktor skinął funkcjonariuszom na pożegnanie i bez pośpiechu opuścił kantorek. Mazurek przez dłuższą chwilę rozglądał się bacznie dookoła. Wyglądało, że technicy skończy niebawem swoją działalność: Pieczolowicie wybierane z zastępującej popielniczkę musztardówki i wprost z podłogi niedopałki papierosów wypełniały większość przegródek w okazałych rozmiarów plastikowym pudle z przezroczystą pokrywą. Butelka, słoik z ogórkami i szklanka zniknęły już z blatu biurka. Jedyne zawartość szuflad tego porządnie zdezelowanego i obdrapanego mebla o dziwo jakoś nikogo dotąd nie zainteresowała...

— Zaglądał tu kto? — zapytał Pozorskiego, wysuwając jedną z nich.

— Jeszcze nie.

Mazurek wyjął z szuflady dwa bloczki kwiatariuszy, starą, zawiniętą w papier kanapkę i cienką, plastikową aktówkę. Zajrzał do tej ostatniej i aż gwizdnął ze zdumienia.

— Zdaje się, że mamy zaginioną fakturę! — stwierdził radośnie. — Kto by pomyślał?

Niemal równocześnie wypadł z aktówki klucz z przyczepionym okrągłym kawałkiem blachy. Porucznik skwapliwie podniósł go z ziemi. Na blaszce były wytłoczone dwa zera.

IX

— Teraz jesteśmy w domu! — autorytatywnie oświadczył Czubacki, odsuwając na brzeg swoje-

go biurka znalezionej przez Mazurka fakturę i przyniesione przed dwoma kwadransami z księgo-wości dokumenty. — W magazynie miała być kontrola, a Mareckiemu brakowało towaru za pięć i pół miliona złotych. Facet wystawił fakturę na rzekomą sprzedaż naszych produktów do Szczecina, a kolega Krzepik najprawdopodobniej w ogóle nie czytając dokumentu uwiarygodnił mistyfikację swoim podpisem. Fakturę, choć nie zapłaconą, zaliczono oczywiście podczas kontroli i niedobór nie został ujawniony. Po jakimś czasie Szczecin przysłał odmowę akceptu, ale u nas już nikt nie pomyślał o ponownym sprawdzeniu rozliczenia magazynu.

— Nikt — z wyjątkiem Borodzieca — sprosto-wał porucznik.

— Biedak przyplącił to życiem! I pomyśleć, że gdybym przed paroma dniami mógł mu poświęcić trochę czasu, pewno nie doszłoby do tragedii...

— Pięć i pół miliona to masa pieniędzy. W jaki sposób towar o takiej wartości zniknął z magazynu?

— Nie mam pojęcia — dyrektor bezradnie rozłożył ręce. — Proszę jednak pamiętać, że pomysłowość złodziei nie zna granic, a aparatura elektrotechniczna cieszy się na rynku dużym popytem. Po wywiezieniu za bramę można bez trudu upłynnić każdą ilość naszych produktów.

— Swoją drogą nie zazdroścysz panu, panie dyrektorze — oficer pokiwiał głową ze szczerym współczuciem. — Dwóch pańskich pracowników nie żyje, a tu jeszcze te nadużycia w magazynie!

— Szczęście w nieszczęściu, że wszystko zaczyna się powoli wyjaśniać. To chyba wyglądało tak — Czubacki przybrał ton niczym podczas wykładu. — Marecki przestraszył się, że za sprawą Borodzieca trafi na długie lata do więzienia. Pod wpływem strachu człowiek bywa zdolny do różnych rzeczy...

— Trudno zaprzeczyć.

— Z kolei do magazyniera dotarło, że szukamy fikcyjnej faktury. Nie widząc dla siebie żadnych szans wybrał samobójstwo.

— Całkiem logicznie pan to wywiódł — przyznał Mazurek. — Nie pozostaje nic innego, jak zacząć, aż badania laboratoryjne potwierdzą nasze domysły.

— Mam nadzieję, że poinformuje mnie pan o ostatecznych wynikach śledztwa?

— Ależ oczywiście. Przecież pan odpowiada za całe przedsiębiorstwo.

— Pozostaje jeszcze sprawa niedoboru. W grę

może wchodzić tylko kradzież, z drugiej jednak strony zachodzę w głowę, co Marecki zrobił z taką kupą pieniędzy? Chyba że przepił albo przegrał w karty, bo mieszkał i ubierał się zupełnie przeciętnie...

— Myślę, że lepiej będzie, jeśli tym problemem zajmie się specjalista od zwalczania przestępczości gospodarczej — porucznik wstał, wyciągając do dyrektora rękę na pożegnanie. — Aha! — przypomniał sobie jeszcze przed wyjściem. — Słyszałem, że magazynier miał być karnie zwolniony z pracy za pijaństwo.

— Gdyby nie miękkie serce kolegi Krzepika, tak by się pewno stało.

— Szkoda, że pański poprzednik nie zjawił się dzisiaj w przedsiębiorstwie. Pozostało nam do wyjaśnienia kilka istotnych szczegółów.

— Jeśli panu zależy, mogę zaraz wysłać po niego kierowcę.

— Proszę się nie fatygować. Załatwię to jakoś we własnym zakresie.

Oficer wyciągnął do dyrektora rękę na pożegnanie, zabrał fakturę znalezionej w biurku Mareckiego i ruszył do wyjścia.

W sekretariacie naprzeciwko Zdrojeckiej siedział Winnicki. Spozregłszy Mazurka poderwał się z krzesła i przez moment spoglądał niezdecydowanie na funkcjonariusza.

— Muszę panu coś zakomunikować — oświadczył wreszcie pełnym napięcia głosem.

— Słucham.

— W przedsiębiorstwie znaleziono drugiego trupa, ale tym razem nie będzie pan już mógł mnie podejrzewać.

— Tak?

— Mam niezbite alibi od wczorajszego popołudnia aż do dzisiejszego ranka.

— Złożę się, że cały ten czas spędziłicie państwo razem — zauważył porucznik dobrotliwie, choć nie bez nutki rozbawienia. — Tylko pozazdrościć takiego alibi! — uśmiechnął się znacząco do sekretarki.

— Ja tylko tak — bąknął zmieszany behawiorysta. — Na wszelki wypadek...

— Przy okazji również i do pani miałbym małe pytanie — mimochodem dorzucił oficer. — O której wyszła pani z pracy w dniu, kiedy zabito Borodzicza?

— Szef puścił mnie kilka minut po szesnastej.

— Dyrektorzy zostali?

— Mieli zaraz kończyć, ale nie umiem panu powiedzieć, ile im jeszcze zeszło...

X

Woda w blaszanym dzbanku głośno zabulgotała. Mazurek wyłączył grzałkę, wsypał do szklanki łyżeczkę herbaty i zalał ją wrzątkiem. Rozglądał się właśnie za cukrem, kiedy w drzwiach stanął młody milicjant w mundurze kaprała, doprowadzający Cieciewicza. Podoficer wycofał się dyskretnie, a porucznik chcąc nie chcąc wskazał byłemu zaopatrzeniowcowi krzesło.

— Namyśliście się, Cieciewicz? — zaczął z pozorną obojętnością. — Powieście prawdę?

— Żebym tak jutra nie doczekał, jeśliś co skłamał!

— A jednak bez współnika w przedsiębiorstwie nie udałoby się wam doprowadzić nawet jednego podzespołu dla Palucha.

— Zapewniłam pana...

— Bzdura! — bezceremonialnie przerwał oficer. — Obaj dobrze wiemy, kto z wami kombinował!

— Jak Boga Kocham!

— Szerze wam radzę: przestańcie ostaniać Mareckiego — głos Mazurka zabrzmiał nagle nadspodziewanie łagodnie. — Jemu już nie nie pomoże ani nie zaszkodzi.

— Nie rozumiem?

— Wczoraj wieczorem powiesił się w swoim magazynie.

— Jezus Maria! — Cieciewicz chwycił się za głowę, z niedowierzaniem spoglądając na porucznika. — Ale dlaczego?

— Niewykluczone, że ma to jakiś związek z waszymi dawnymi nadużyciami.

— Wielkie mi nadużycia — przesłuchiwany lekceważącym gestem machnął ręką. — Z pierwszej partii miałem na czysto wszystkiego dwa i pół patyka, a za drugim razem wpadłem.

— Ile zarobił Marecki?

Cieciewicz niezdecydowanie pokręcił głową. Przez dłuższą chwilę wahał się, raz po raz zerkając to na porucznika, to w zakratowane okno. Wreszcie ustąpił.

— Tyle co ja — wybąkał z przymusem. — Ten prywaciarz płacił mi połowę wartości dostarczonych podzespołów, a ja z magazynierem dzieliłem się uczciwie.

— Dlaczego na procesie ani słowa nie wspomnieliście o Mareckim?

— Co by mi to dało? Swoje i tak bym musiał odsiedzieć, a nie miałby mi kto paczek do pudła przysyłać.

— Często dostawaliście te paczki?

— Prawie co miesiąc.

— Niezbyt drogo opłacił magazynier swą wolność.

— Obiecował, że pomoże mi się urządzić, kiedy mnie puszcza.

— I co?

— Wypiliśmy butelczynę na dzień dobry, ot i wszystko!

— Marecki lubił zaglądać do kieliszka?

— Za kółkiem nie wylewał.

— Grywał w karty?

— W pokera albo w oczko, to nawet często.

— Miał szczęście?

— Częściej wracał splukany, ale o to musiałby pan raczej zapytać jego kumpla, Maćka Pręgołę. Za moich czasów pracowali razem w magazynie.

— Czy Pręgoła również brał udział w waszych machinacjach?

— Trudno mi powiedzieć — Cieciewicz bezradnie rozłożył ręce. — Ja wszystko załatwiałem z Edkiem. Niewykluczone, że magazynier rozliczał się jakoś z Maćkiem, ale mnie przy tym nie było.

— Na razie zostawmy stare dzieje — Mazurek w zamyśleniu podrapał się w czoło. — A wracając do spraw bardziej aktualnych, powiedzcie, co robiliście wczoraj po południu, do momentu zatrzymania.

— Pyta pan o moje alibi? — przesłuchiwany nie krył swego zdumienia. — Przecież przed chwilą mówił pan, że Marecki sam się powiesił...

— Formalności musi stać się zadość.

— Chyba, że tak — raczej przez grzeczność, niż z wewnętrznego przekonania zgodził się Cieciewicz.

— No więc?

— Znowu byłem pod „Pewexem” na Nowogrodzkiej.

— Handlowaliście dolarami?

— Uchowaj Boże! — spłoszył się zatrzymany. — Po prostu lubię patrzeć, jak ludzie kupują ładne rzeczy.

— Oj Cieciewicz, Cieciewicz! — Mazurek porozumiewawczo przymrużył oko. — Nie zabierajcie chleba zawodowym waluciarzom!

— Skądże znowu...

— No to zmiatajcie do chałupy!

— Tak jest! — tamten aż poderwał się z miejsca, nawet nie usiłując zapanować nad ogarniającą go radością. — Dziękuję panu!

— I niech wam tylko nie przyjdzie do głowy, żeby przysłać gdzieś w Polskę! — pół żartem, pół serio porucznik pogroził przesłuchiwanemu. — Mogę was jeszcze potrzebować.

— Stawię się na każde wezwanie! — solemnie obiecał Cieciewicz, ruszając bez dodatkowej zachęty do wyjścia.

— Aha! Jeszcze jedno — przypomniał sobie oficer. — Z kim oprócz Powalskiego mieliście się wczoraj spotkać „Pod Łosiem”?

— Właśnie z Pręgołą — bez skrępowania odparł zaopatrzeniowiec.

— Tamci dwaj się znają?

— Jak pan widzi, świat jest cholernie mały.

— Bywali u siebie?

— A jakże! — potwierdził Cieciewicz. — Kiedy po moim wyjściu z pudła Felek urządził ochłaj u Anki Dolińskiej, zaprosiliśmy również i Maćka... Skrzyknęły drzwi. Mazurek odwrócił głowę i w progu pokoju spostrzegł Pozorskiego.

— Jest dyrektor Krzepik — zwięźle poinformował przybyły.

— Dobrze się składa.

— Przesłuchać go?

— Sam to zrobię — zdecydował porucznik. — A ty z łaski swojej załatw formalności w areszcie — skinął znacząco w stronę Cieciewicza. — Nasz gość wraca do siebie.

Choraży najwyraźniej nie był zachwycony takim obrotem rzeczy, ale bez słowa wyprowadził zaopatrzeniowca.

Chwilę później do pokoju wkroczył Krzepik. Minę miał niczym chmura gradowa i nie uznał nawet za stosowne przywitać się z oczekującym go oficerem.

— Podobno chciał mnie pan widzieć? — zaczął z nie ukrywaną pretensją w głosie. — Tylko czemu zamiast wysłać po mnie jednego ze swych kolegów nie zaczął pan choć pół godziny w przedsiębiorstwie? Właśnie się tam wybierałem.

— Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło! — sentencjonalnie zauważył Mazurek, wykrzywiając usta w kwaśnym uśmiechu. — Tutaj przynajmniej nikt nie przeszkodzi nam w rozmowie.

— Słucham.

— Na początek pragnąłbym pokazać panu tę fakturę — porucznik podał dyrektorowi znaleziony u Mareckiego dokument. — Figuruje na niej pański podpis.

— Nie przeczę.

— Faktura opiewa na pięć i pół miliona złotych. Czy Zakłady Elektrotechniczne często zawierały tak poważne transakcje?

— W każdym razie nie co dzień.

— A czy w chwili składania podpisu dokument nie, wzbudził w panu żadnych podejrzeń?

— Nie.

— Mimo wszystko byłbym zobowiązany, gdyby zechciał pan podzielić się ze mną garścią szczegółów.

— Obawiam się, że nie zaspokoje pańskiej ciekawości.

— Czemuż to?

— Niech mi pan pokaże dyrektora, który studiuje podpisywane przez siebie dokumenty. Ja osobiście nigdy nie miałem na to czasu. Pracownik, który przychodził z fakturą, odpowiadał za jej treść. Ot i wszystko!

— Nawet jeśli w grę wchodziły miliony?

— W swojej karierze obracałem już większymi kwotami.

— Ostatecznie jednak zjednoczenie nie zaakceptowało pańskiego stylu kierowania przedsiębiorstwem.

— Bzdura! — zachnął się Krzepik. — Po prostu Czubacki miał lepsze układy. Nie doceniłem go!

— A kwestia zdolności organizatorskich czy wiedzy fachowej?

— Pan w to wierzy? — dyrektor wzruszył ramionami bez cienia zażenowania. — Liczy się aktualna siła przebiecia. Zapewniam pana, że za kilka lat Czubackiego też ktoś wysadzi z siodła.

Oficer miał już na końcu języka jakąś zgryźliwą uwagę, ale w ostatniej chwili postanowił dać spokój.

— Słyszał pan o śmierci Mareckiego? — zmienił temat.

— Podobno się powiesił.

— Co mógłby pan o nim powiedzieć jako o pracowniku?

— Wbrew pozorom pańskie pytanie nie należy do najprostszych.

— Czemuż to?

— W ciągu ostatnich kilku lat Marecki przeżył dość zasadniczą metamorfozę. Z cenionego pracownika i aktywisty związkowego stał się niezdyscyplinowany, nadużywającym alkoholu obibokiem. Na dobrą sprawę były nawet podstawy, żeby go zwolnić.

— No właśnie — podchwycił Mazurek. — A

przecież podczas naszej ostatniej rozmowy kwestionował pan potrzebę przeprowadzenia bardziej szczegółowej kontroli w magazynie.

— Nie przypuszczaliśmy, że Marecki może dopuścić się jakichś nadużyć.

— Teraz pan już wie.

— Mądry Polak po szkodzie...

— Jak pan sądzi, czy magazynier działał sam?

— A pan podejrzewa, że miał współników?

— To się jeszcze okaże — odparł porucznik wymijająco. — Podobno kiedyś doszło do poważnej awantury pomiędzy Mareckim a Borodiczem? — zaczął z innej beczki.

— Coś sobie przypominam.

— Niewiele brakowało, żeby magazynier został zwolniony, a jednak decyzji pan wtedy nie podjął.

— Zdaje się, że wyjeżdżałem akurat na urlop. Sprawę miał załatwić mój zastępca.

— Czubacki?

— Właśnie.

— Nie zareagował pan, kiedy Mareckiemu wszystko uszło na sucho?

— Widocznie miałem poważniejsze sprawy na głowie. Przepraszam, ale czy jeszcze coś chciałby pan wiedzieć? — w nagłym przyplwywie energii Krzepik wstał z miejsca, dając do zrozumienia, że nie zamierza poświęcać więcej czasu oficerowi. — Jestem z kimś umówiony i wolałbym się nie spóźnić...

— W takim razie nie będę pana dłużej zatrzymywać.

— Jakby co, jutro koło południa wpadnę do przedsiębiorstwa. Muszę wreszcie zakończyć przekazywanie służbowych papierów mojemu następcy.

— Znaczy: do jutra.

Dyrektor skrzywił się słysząc ostatnią zapowiedź funkcjonariusza. Najwyraźniej korciło go, by jeszcze coś dorzucić, w ostatniej jednak chwili zmienił zamiar i pożegnawszy się ruszył do wyjścia.

Mazurek sięgnął po szklanke wystygłej herbaty. Łapczywie wypił kilka łyków, ale skrzywiwszy się z niesmakiem czym prędzej odsunął ją od siebie. Nagle przyszło mu na myśl, że warto byłoby zamienić kilka słów z zatrzymanym wczorajszego wieczoru Powalskim. Bez wahania schował akta do biurka i wyszedł z pokoju. Po chwili dotarł do drzwi prowadzących do aresztu, pod którymi Pozorski dyskutował o czymś zawzięcie z oficerem dyżurnym.

— Cieciewicz już na wolności? — zapytał bez specjalnego zainteresowania.

— Owszem — przytaknął chorąży. — Facet tak się cieszył, że niewiele brakowało, by mnie ucałował po rękach.

— A co z Pręgołą? — przypomniał sobie porucznik. — Próbowaleś ściągnąć go do komendy?

— Kamień w wodę — Pozorski bezradnie rozłożył ręce. — W domu chłopaki go nie zastali, a w przedsiębiorstwie ostatni raz widziano gościa wczoraj rano.

— Poczul pismo nosem i teraz szukaj wiatru w polu.

— Co robimy?

— Niech ktoś poczeka na ancymonka pod jego chałupą, a ty tymczasem zasięgnij języka, co on za jeden.

— Zaraz wyślę wywiadowcę — wtrącił się oficer dyżurny — a z dzielnicowym już rozmawiałem o Pręgole.

— No i co?

— Podobno to wyjątkowo nieciekawy typ. Ledwo skończył dwadzieścia dwa lata, a zdążył zarobić wyrok sądowy za udział w jakiejś rozróbce i trzy orzeczenia kolegium.

— Siedział?

— Miał szczęście. Zawsze kończyło się na grzywnie albo zawieszaniu.

— Trzeba dać znać chłopakom z prewencji. Może któryś z patroli przyuważy gdzieś ptaszka.

— Zalatwione.

Kilka minut później profos wprowadził Mazurka do celi, w której umieszczono Powalskiego. Aresztant leżał na pryczy, bezmyślnie spoglądając w sufit. Na widok porucznika skrzywił się z nie ukrywaną wrogością.

— Traci pan tylko czas — syknął przez zaciśnięte zęby. — I tak nic nie powiem.

— Skąd wiesz, o co cię chciałem zapytać? — oficer uśmiechnął się ironicznie. — Może o pogodę?

— Dla mnie to żadna różnica.

— Czyżby?

— Takie pogawędki zawsze kończą się dłuższą odsiadką.

— Tym razem nie chodzi mi wcale o ciebie.

— Mowa, trawa...

— Mam sprawę do jednego z twoich znajomych.

— Do kogo?

— Muszę przesłuchać niejakiego Maćka Pręgołę.

— Nie znam człowieka.

— Gadanie! — zachnął się oficer. — Widywano was razem, więc nie warto zaprzeczać!

— Sypać kumpla również nie warto — niemal prowokująco odparł Powalski. — Siebie i tak się nie wyratuje, a ktoś może mieć później słuszne pretensje...

Oficer zmełł w ustach jakieś przekleństwo. Niewiele brakowało, żeby wybuchnął, na szczęście jednak zdołał jakoś zapanować nad sobą.

— Przyznajesz więc, że znasz Maćka? — zapytał twardo.

— A co za różnica?

— Pozwolisz, że sam to ocenię.

— Mimo wszystko chyba będę musiał pana rozczarować.

— Po zwolnieniu Cieciewicza z więzienia piliście razem u Dolińskiej...

— Przypuścimy — ustąpił wreszcie aresztant.

— Kto zaprosił Pręgołę?

— Nie pamiętam.

— A widziałeś się z nim później?

— Nie.

— „Pod Łosiem” mieliście się jednak spotkać. — Cieciewicz kogoś tam faktycznie zaprosił, ale Bóg mi świadkiem, że nie wiedziałem, kto to taki.

Mazurek zacisnął pięści w bezsilnej złości. Byłoby niestety jasne, że Powalski nie zechce z własnej woli udzielić żadnej informacji. Chcąc nie chcąc porucznik zrezygnował z dalszego przesłuchania. W tej sytuacji nie pozostawało mu nic innego, jak ponownie odwiedzić Dolińską.

Kwadrans później znalazł się na ulicy. Sprzyjało mu szczęście, jako że przed komendą odjeżdżał właśnie radiowóz. Dowódca patrolu bez wahania zgodził się podwieźć kolegę i w ciągu niespełna dziesięciu minut Mazurek dotarł na Śmiałą.

Tym razem przyjaciółka Powalskiego otworzyła mu prawie natychmiast. Porucznik nie czekając na zaproszenie wszedł do środka i zdjął płaszcz.

— Spisałaś się, Anka, na medal! — zaczął z nie ukrywaną drwiną. — Jak po sznurku zaprowadziłaś mnie do Powalskiego i Cieciewicza.

— To było cholerne świństwo! — fuknęła niczym rozdrażniona kotka. — Podpuścił mnie pan, a potem włożył mi na ogon... Na domiar złego pół nocy spędziłam na dołku, zanim pozwolił mnie pan wypuścić!

— Takie jest życie! — roześmiał się z pozorną

beztroską. — Ale, ale! — nagle spowaźniał. — Chciałbym, żebyś wyjaśniła mi jeszcze jeden drobiazg.

— O co chodzi?

— „Pod Łosiem” miało się spotkać trzech facetów.

— Owszem — potakująco skinęła głową. — Powalski, Cieciewicz i jakiś ich kumpel.

— Prego! — odpowiedział oficer. — Zapomniałaś mi podać jego nazwisko i gość się stępnął.

— Nie moja wina.

— Knajpy też pomyliłaś niechęć — głos Mazurka jak gdyby odrobinę stwardniał. — Tak czy inaczej chętnie o wszystkim zapomnę — zapewnił. — Oczywiście pod warunkiem, że szybko ptaszka dorwiemy.

— Ale ja go prawie nie znam! — jęknęła płacząc.

— Lepiej nie łzy! — zaznaczył porucznik ostrzegawczo. — Wiem, że Maciek u ciebie był.

— Nie tyle u mnie, co u Felka.

— Niewielka różnica.

— W każdym razie nie widziałam go od tygodnia.

— A gdzie mógłbym go teraz znaleźć?

— Pewno w domu.

— Nie żartuj! — zachnął się oficer. — Gdyby tam był, nie przyszedłbym do ciebie.

— Ale ja nie mam pojęcia, co się z nim stało!

— Ejże?

— Jak Boga kocham!

— No cóż! — porucznik nagle posmutniał, udając, że daje za wygraną. — Szkoda... A swoją drogą ciekawe, co by powiedział Felek, gdyby dostał cynk, że pobyt za kratkami zawdzięcza swojej łubiej. W końcu jest w tym trochę prawdy, więc może by uwierzył...

Cios okazał się nadspodziewanie celny. Przyjaciółka Powalskiego nerwowo zagryzła wargi, a na jej pobladłych ze strachu policzkach pojawiły się kropelki zimnego potu.

— Świnia! — syknęła z nie tajoną wściekłością. — Chyba tego nie zrobisz?

— Kto wie? — drwiąco uśmiechnął się Mazurek. — Tak czy inaczej myślę, że nie masz wyjścia.

Przez dłuższą chwilę mierzyła porucznika nienawistnym spojrzeniem, musiała jednak

nabrać pewności, że oficer gotów jest spełnić swą groźbę, bo z rezygnacją opuściła głowę.

— Niech pan zajrzy do Mirki Lipeckiej — wyszeptala łamiącym się głosem. — Maciek chodzi z nią od kilku miesięcy... Niewykluczone, że właśnie tam się zamelinował.

— Adres?

— To dwa kroki stąd, na Zajęczka, nie dochodząc Mickiewicza...

Mazurek nie pytał już o nic więcej. Zadowolony z siebie włożył płaszcz i śpiesznie wyszedł na ulicę. Do bloku, w którym mieszkała przyjaciółka Pregoły, faktycznie nie było daleko. Porucznik bez trudu odnalazł jej nazwisko na liście lokatorów i wdrapał się na ostatnie piętro. Energicznie zastukał do brudnych, pokrytych szarą, łuszczącą się farbą drzwi, ale nie wywołało to żadnej reakcji. Przez kilka sekund nasłuchiwał uważnie, po czym ponowił pukanie. Niestety w mieszkaniu najwyraźniej nie było nikogo.

Przez dobre dwie minuty oficer stał niezdecydowany. W końcu miał już zamiar dać za wygraną i wracać do komendy, kiedy na klatce schodowej rozległo się szuranie czyichś ciężkich kroków. Po chwili spostrzegł tęga, przeszło pięćdziesięcioletnią sądząc z wyglądu kobietę z wypchaną zakupami siatką. Wdrapała się na ostatnie piętro i przystanąwszy pod drzwiami sąsiadującymi z wejściem do mieszkania Lipeckiej popatrzyła na Mazurka zmęczonym wzrokiem.

— Pan w jakiej sprawie? — spytała bez specjalnego zainteresowania. — Chyba nie do mnie?

— Do pani sąsiadki — wyjaśnił, sięgając po legitymację. — Nie orientuje się pani, kiedy obywatelka Lipecka wróci do domu?

— O to powinien pan zapytać swoich kolegów po fachu.

— Nie rozumiem.

— Już przeszło dwa tygodnie, jak po nią przyjechali. Podobno okradła w „Adrii” jakiegoś zagranicznika i prokurator dał jej sankcję. Ludzie mówią, że dostanie ładny wyrok...

„Innymi słowy Dolińskiej udało się w końcu wystrychnąć mnie na dudka — mruknął do siebie Mazurek, gniewnie zaciskając pięści. — Babsztyl dobrze wiedział, że nie zastanę tu Pregoły. No, ale jeszcze zobaczymy, czyje będzie na wierzchu!”

XI

Na ulicach zapalały się pierwsze latarnie, kiedy porucznik kolejny już raz tego dnia przekroczył progi macierzystej komendy MO. Niemał w wejściu natknął się na lekarza, który dokonywał oględzin zwłok Borodzicza i Mareckiego. Doktor sapnął radośnie na widok oficera, nawet nie usiłując taci swego podniecenia.

— Od razu podejrzewałem, że coś jest nie tak z tym wisielcem — zaczął bez żadnych wstępów. — Nie mogłem się do pana dodzwonić po sekcji, więc przyszedłem osobiście.

— Co pan ustalili? — Mazurek zachęcającym gestem wskazał lekarzowi drogę do swego pokoju.

— Otarcia naskórka na części potylicznej głowy. Po otwarciu czaszki stwierdziłem w tym miejscu ślad zaczynającego się tworzyć krwiaka podtwardówkowego.

— Chce pan powiedzieć, że magazynier uderzył się albo został uderzony w głowę na krótko przed śmiercią?

Właśnie.

— Czy to było silne uderzenie?

— W jego następstwie nie doszło do żadnych uszkodzeń kości czaszki — odparł lekarz z namysłem. — Tak czy inaczej mogło jednak spowodować chwilową utratę przytomności — dorzucił z naciskiem.

— Innymi słowy Mareckiego ogłuszono, po czym wyprawiono na tamten świat pozorując samobójstwo?

— Wnioski należą do pana — zastrzegł się doktor, choć jego mina świadczyła wymownie, że podziela opinię porucznika. — Podobne sugestie z mojej strony byłyby zbyt daleko idące.

— Doprawdy?

— We krwi denata stwierdziłem prawie dwa promile alkoholu. Ludzie w takim stanie nierzadko miewają kłopoty z utrzymaniem równowagi. Marecki mógł się potknąć i padając uderzyć o coś głową.

— I wydarzenie to tak obrzydziło mu życie, że się powiesił? — oficer wydał wargi w ironicznym uśmiechu. — Chyba nie traktuje pan poważnie podobnej ewentualności?

Lekarz miał zamiar coś odpowiedzieć, ale dotarli właśnie do pokoju Mazurka i porucznik nie zatrzymując się zdecydowanym ruchem pchnął drzwi. Weszli do środka. Za biurkiem siedział Pozorski z nosem utkwionym w aktach. Spostrzeższy przybyłych uśmiechnął się na powitanie.

— Przed chwilą wróciłem z laboratorium — zakomunikował na samym wstępie. — Okazuje się, że krew na rurce z magazynu Mareckiego należy do tej samej grupy, co krew Borodzicza. Prócz tego eksperci znaleźli dwa włosy.

— Już rano przypuszczaliśmy, że tak właśnie będzie — nie bez satysfakcji podchwycił oficer.

— Ale nie wiedzieliśmy, że z wyjątkiem fragmentu, którym został uderzony Borodzicz, rurka jest czysta jak ła! Nie tylko nie ma na niej odcisków linii papilarnych, ale brak nawet śladu, by ktokolwiek trzymał ją choćby w rękawiczce!

— Gumowe rękawiczki nie pozostawiają żadnych śladów — sceptycznie zauważył Mazurek. — Z innymi też różnie bywa.

— Gdyby Marecki naprawdę zabił Borodzicza, nigdy nie wycierałby w ten sposób użytego narzędzia — chorąży nie dał się zbić z tropu. — Zresztą mam jeszcze coś...

— Gadaj!

— Specjaliści wzięli pod lupę postronek, na którym wisiał magazynier. Twierdzą, że wygląda, jakby ktoś przerzuciwszy sznur przez belkę windował na nim jakiś spory ciężar.

— To wszystko pasuje jak ulał do wyników sekcji — wtrącił się doktor. — Teraz sprawa jest jasna!

— Z wyjątkiem jednego, bynajmniej nie najdrobniejszego elementu — westchnął porucznik. — Do tej pory nie mamy pojęcia, kto zabił Borodzicza i Mareckiego. Ale cóż, z pustego nawet Salomon nie należy... A propos! — przypomniał sobie, zwracając się ponownie do Pozorskiego. — Czy namówiłeś ekspertów, żeby rzucili okiem na zabezpieczone w magazynie niedopałki papierosów?

— Owszem — przytaknął chorąży — choć niewiele brakowało, by mnie zlinczowali z tego powodu. Obejrzeć prawie pięćdziesiąt petów to cholerna robota...

— I co?

— Przy każdym niedopałku musiałem staczać boje o analizę śladów śliny i inne badania, ale jeden pet wszystkich zaintrygował. Wyobraź sobie, że wśród sportów i popularnych trafiał się chesterfield.

— Odkąd to zwykli magazynierzy palą takie papierosy?

— Specjaliści zaklinali się na wszystko, że akurat tego Marecki nawet nie spróbował. Jutro dostaniesz protokół...

Nagle na korytarzu zadudniły ciężkie kroki biegnącego mężczyzny i moment później do pokoju wpadł jak bomba oficer dyżurny. Na jego twarzy malowało się nie ukrywane podniecenie.

— Podobno masz na tapecie Zakłady Elektro-techniczne? — raczej stwierdził, niż zapytał Mazurka! — Właśnie sprzątaczką dała mi cynk o włamaniu do magazynu. Jeśli się pośpieszysz, to może jeszcze zdążyć nakryć złodziejzka!

— Dasz radiowóz?!

— Czeka przed komendą.

— Włęc nie ma chwili do stracenia! — porucznik rzucił się do wyjścia.

— Pan wybaczy, panie doktorze! — Pozorski ruszył w ślad za kolegą. — To może być właśnie brakujące ogniwo...

Prowadzony pewną ręką szary fiat pomknął z piskiem opon. Ruch na ulicach był jeszcze całkiem spory, na szczęście jednak pulsujący sygnał skutecznie skłaniał innych kierowców do pozostawienia wolnej drogi milicjantom. Na jednym z zakrętów radiowóz obrócił się niezłym bąk, na innym wjechał na chodnik dosłownie o włos mijając latarnię, ale za to już po kilku minutach morderca jechał dobiegła końca. Funkcjonariusze wyskoczyli z samochodu i biegiem wpadli na portiernię. Obok dygocącego ze strachu starszego mężczyzny w urzędowym uniformie czekała tam Baroniowa.

— Chwała Bogu, że to pan! — zawołała na widok Mazurka. — Już nie wiedziałam, co robić!

— Ktoś się włamał do magazynu?

— Byłam już w chałupie, kiedy przypomniało mi się, że w biurowej kuchence zostawiłam czajnik na gazie. Mało ducha nie wyzionęłam, tak tu leciałam z powrotem! — obrazowo przyłożyła ręce do piersi. — Na miejscu okazało się, że gaz jednak zgasiłam. Na wszelki wypadek postanowiłam jeszcze obejść cały budynek, aż tu patrzę, że te paski, coście je panowie ponalepiali na drzwiach magazynu, są zerwane i ktoś buszuje w środku...

Porucznik dalej nie słuchał. Bezceremonialnie przerwał sprzątaczkę odsuwając ją na bok i wraz z towarzyszącymi mu milicjantami pobiegł w głąb

korytarza łączącego biurowicę Zakładów Elektro-technicznych z magazynem. Ciężkie, metalowe drzwi otworzyły się z przeraźliwym hałasem, oficer nie dbał jednak teraz o zachowanie środków ostrożności. Spostrzegł, że w kantorku Mareckiego pali się światło. Jakiś mężczyzna metodycznie przetrząsał szuflady biurka. Na widok funkcjonariuszy rzucił wszystko i wypadłszy w popłochu z kantorka ruszył w przeciwną stronę magazynu.

Pierwszy rzucił się w pościg Pozorski. Był wyraźnie szybszy od włamywacza i po kilku krokach mógł już sięgnąć jego ramienia. Wyciągał właśnie rękę, by pochwycić mężczyznę, kiedy nagle wymierzony z półobrotu potężny kopniak powalił chorążego na kolana.

Włamywacz odwrócił się na pięcie i chciał uciekać dalej, ale teraz drogę zastąpił mu Mazurek. Tamten z determinacją uderzył porucznika w szczękę. Ten usiłował zrobić unik, cios był jednak zbyt szybki i precyzyjny. Oficer runął jak długi. Dosłownie w ostatniej chwili udało mu się trafić przeciwnika końcem buta w kolano. Na szczęście włamywacz również stracił równowagę...

Obaj podnieśli się niemal równocześnie. Mężczyzna sięgnął do kieszeni i moment później w jego dłoni błysnęło ostrze noża. Zamierzył się na Mazurka, ale tym razem porucznik był szybszy. Wyprzedzając atak chwycił włamywacza za przegub. Jeszcze jeden wysilek i przeciwnik przeleciał bezwładnie nad barkiem oficera. Mazurek głęboko odetchnął. Trzask łamanego drewna i łoskot spadających skrzynek świadczyły wymownie, że włamywacz nie będzie już raczej stawiać dalszego oporu.

XII

— Z tymi bajeczkami możesz startować do swojej babcii! — Mazurek gniewnie podniósł głos. — Na mój użytek wymyśl coś bardziej sensownego!

— Bodajby mnie szlag trafił, jeśliś co zelgał! Samą prawdę nawijam, jak na świętej spowiedzi...

— Bzdura!

— Co mam zrobić, żeby pan władza uwierzył?!

— Lepiej nie baw się ze mną w ciuciubabkę, bo cholernie tego nie lubię!

— Czego pan ode mnie chce?

Porucznik z trudem powstrzymał się od przekleństwa. Ociężale wstał z krzesła i usiadł na blacie swego biurka. Za oknem dniało, a zatrzymany poprzedniego wieczoru w magazynie Mareckiego Pręgoła ani myślał powiedzieć coś więcej, niż przed kilkoma godzinami, kiedy rozpoczynało się przesłuchanie.

— Po co wlamaleś się do biurka magazyniera? — kolejny już raz zaczął od początku.

— Przecież mówiłem, był mi winien półtora pataka.

— Czyżby?

— Czekałem dwa dni, bo miał mi przynieść moniaki do chatupy, ale drań nie przyszedł. Pomyślałem, że jak zwykle się zapili, chcąc nie chcąc trzeba było więc popłynąć do magazynu.

— Nie wdziałeś pieczęci na drzwiach?

— Widziałem.

— I mimo to wlałeś do środka?

— Kapnąłem się, że Edek siedzi, skoro magazyn opieczetowany. Musiałbym cholernie długo czekać na swoją forszę — zatrzymujący żalostnie pociągnął nosem. — Dumiałem, dumiałem, aż przyszło mi do głowy, że lepiej wziąć samemu, co się należy.

— Marecki miał zwyczaj trzymać pieniądze w szufladzie biurka?

— Owszem.

— Dziwno...

— Niby dlaczego?

— Przecież magazyn nie prowadzi sprzedaży gotówkowej!

— Chyba nie — przytaknął Pręgoła, ale nie było widać, by uwaga Mazurka specjalnie go stropiła.

— Sam widzisz, że kręcenie na nie się nie zda — cierpliwie powtórzył porucznik. — Lepiej, bratku, opowiedz o kantach Mareckiego.

— Ja nie nie wiem.

— Ejże?! — rzucił gwałtownie oficer. — A może wolisz siedzieć nie tylko za swoje, ale i za jego grzeszki?!

— Bóg mi świadkiem, że jestem czysty! — zatrzymany teatralnym gestem uderzył się w piersi.

— Łżesz!

— Ależ panie władzo...

— Nie chcesz mówić o rozkradaniu zawartości magazynu, twoja sprawa! — Mazurek ostentacyj-

nie wzruszył ramionami. — Uważaj tylko, żebym cię nie przypesował do zabójstwa Borodzicza.

Wreszcie poskutkowało. Przesłuchiwany zerwał się z krzesła, spoglądając przerażonym wzrokiem na funkcjonariusza.

— Co takiego?! — wyjąkał. — Pan chyba żartuje?!

— Facet nakrył was z Mareckim, a wy... — porucznik znaczącym gestem przeciągnął kantem dłoni po szyi.

— To nieprawda!

— Znaczy, że kradły i mordowały krasnoludki? — Mazurek ironicznie wydał wargi. — Oj, przyjdzie ci teraz, synu, zdrowo beknąć!

Pręgoła opadł zrezygnowany na krzesło, zaslaniając rękami twarz. Przez dłuższą chwilę wahał się jeszcze, ale widać było, że lada moment zrezygnuje z dalszego uporu. W końcu westchnął i nie patrząc na przesłuchującego zaczął łamiącym się głosem:

— Powiem panu, panie władzo... Wołę odsiedzieć swoje za te parę groszy, które odpalił mi Edek, niż obkroczyć wyrok za mokrą robotę.

— Jednak zmądrzałeś.

— A zmądrzałem! — wyrzucił z siebie zatrzymany z niespodziewaną złością. — Ile razy można człowieka puszczać w maliny?! Edek klarował mi, że nie wolno upłyniać z magazynu większych partii towaru, że trzeba uważać. Wierzyłem drańowi, aż dopiero cztery dni temu wyłazło sztydo z worka. Mało mnie szlag nie trafił, kiedy podstuchałem, o czym gadali z Borodziczem.

— Cztery dni temu Borodzicz był u Mareckiego?

— Przyniósł jakieś papiery i pokazywał je Edkowi. Coś mnie tknęło, żeby nie pakować się do kantorka, tylko przykucnąć za skrzynką przy wejściu. Wszystkiego nie słyszałem, ale że drań rąbnął ponad pięć milionów to i głupi by wyrozumiał! Niech pan sobie wyobrazi — w głosie Pręgoły zabrzmiała nieklamana skarga. — Zaczęliśmy zanim jeszcze wynikła ta historia z Ciociwiczem. Kombinowałem samochody na nocne kursy, na własnych plecach targałem skrzynki, a przez ten cały czas Edek odpalił mi najwyżej jakieś piętnaście patoli!

— Magazynier przyznał się Borodziczowi?

— Gdzie tam! Zaklinał się na wszystkie świętości, że o niczym nie ma zielonego pojęcia.

— Tamten uwierzył?

— Zagroził, że papiery zanieś do dyrekcji.

— I wtedy Marecki go stuknął?

— Tego panu nie powiem — przesłuchiwany potrząsnął głową, jak gdyby z odrobiną zawodu. — Edek faktycznie się odgrażał, ale przy mnie do żadnych rękoczynów nie doszło.

— A później?

— Facet wyniósł się do stu diabłów, a ja wylałem zza skrzynki i wziąłem Edka na spytki.

— Co ci powiedział?

— Żeby nie wsadzał nosa w nie swoje sprawy. Chciałem mu dać po ryju, ale kopsnął mi pięć patyków, obiecał drugie tyle i postawił połówkę. Trochę mnie to udobruchało, więc odpuściłem.

— Nie poszedł za Borodziczem?

— Przy mnie nigdzie nie ruszał się.

— Na pewno?

— Co najwyżej na minutkę, do sracza.

— Mówił ci, jak zamierza sprawę załatwić?

— Zadzwoił do dyrektora.

— Do którego?

— Nie dosłyszałem — Pręgoła bezradnie rozłożył ręce. — Wychodziłem właśnie po wodę na herbatę.

— Nie rozumiem? — zdziwił się Mazurek. — Przecież dyrekcją straszyl właśnie Borodzicz, więc czego mógł chcieć od jednego z szefów Marecki?

— Chyba tamten był zajęty, bo Edek nawijał, że musi zadzwonić jeszcze raz.

— Ale po co?

— Nie wiem na sto procent — przesłuchiwany konfidencjonalnie ściszył głos — coś mi się jednak widzi, że Marecki miał z kimś na górze niezłe układy. Inaczej już dawno wyleciałby z roboty.

— Czyżby w waszych nadużyciach brał również udział ktoś z dyrekcji?

— Niech pan zapyta lepiej Edka.

— A ty kiedy ostatni raz go widziałeś? — zmienił temat porucznik.

— Właśnie cztery dni temu.

— Balesz się wpadki i myślałeś, że cię ominie, jeśli rzucisz pracę?

— Wylali mnie — sprostował Pręgoła.

— Za co?

— Przechylił się z Edkiem drugą połówkę, kiedy mnie przypiliło. Był już fajerant, więc poleciałem do biurowego sracza: Jakaś cholera zamknęła drzwi na klucz. Kombinowałem właśnie, czy nie posadzić tylko na dyrektorskim sedesie, aż tu skądś wylał Czubański. Ukłoniłem się grzecznie, ale ten nawymyślał mi od moczomordów i kazał następnego dnia zgłosić się do kadr po zwolnienie.

— Bogiem a prawdą dyrektor miał rację.

— Też coś! — zaproponował gwałtownie przesłuchiwany. — A on to niby sodówkę na konferencjach żłopie?

XIII

Mazurek w nie najgorszym nastroju wkroczył do sekretariatu. Szarmancko stuknął obcasami przed Zdrojecką. Ta uśmiechnęła się niemal zalotnie.

— Słyszałam, że ma pan już zabójcę pod kluczem? — spytała z nie tajoną ciekawością.

Chciał właśnie odpowiedzieć, kiedy otworzyły się drzwi do gabinetu i wyjrzał zza nich Czubański.

— O, pan porucznik! — zawołał radośnie. — Proszę do mnie! Może kawusi? Pani Zosiu, będzie pani uprzejma dwa szatany.

Oficer rzucił sekretarce przepraszające spojrzenie i bez zastanowienia ruszył za dyrektorem do gabinetu. Siedli przy stojącym pod ścianą okrągłym stoliku. Funkcjonariusz niejako z przyzwyczajenia sięgnął do kieszeni po papierosy, ale Czubański okazał się szybszy, skwapliwie podsuwając mu swoje.

— Kończy pan śledztwo? — spytał tym samym tonem, co moment wcześniej Zdrojecka.

— Zostało do wyjaśnienia tylko kilka drobnych szczegółów.

— Uchylił pan rąbka tajemnicy służbowej?

— Zgodnie z naszą umową.

— A więc kto dokonał zabójstwa?

— Zabójstw — poprawił z naciskiem Mazurek, — Wbrew pozorom Marecki wcale sam się nie powiesił.

— Czyżby ten pijak Pręgoła? Wspominano mi, że go pan zatrzymał...

— Pręgoła kombinował z Mareckim, a wczoraj usiłował okraść nieżyjącego współnika, ale za zabójstwo będzie odpowiadać kto inny.

— Płonę z ciekawości!

— Należałoby zacząć od nadużyć ujawnionych w magazynie pańskiego przedsiębiorstwa.

— Borodzicz wpadł na ich trop i dlatego został zabity — domyślnie zaawazył dyrektor.

— Pierwsze zabójstwo nie było zaplanowane. Zabójca musiał się spieszyć. Może spostrzegł Borodzicza idącego do toalety, może spotkał go

tam przypadkowo... W każdym razie natychmiast postanowił skorzystać z nadarzającej się okazji. Miał nadzieję, że po usunięciu niewygodnego świadka i kompromitujących dokumentów będzie mógł nadal ukrywać niedobór, tak jak to czynił w ciągu ostatnich lat.

— Te zamierzenia spełży na niczym, kiedy zaczęliśmy szukać faktury, której nie zdążył mi pokazać Borodziec.

— Duplikat faktury mógł się znaleźć w księgo-wości. Jedynym wyjściem dla zabójcy było usunię-cie zagrożonego wpadką współnika. Dwa dni temu, wieczorem, złożył wizytę Mareckiemu w magazynie i korzystając, że tamten był pod dobrą datą, ogłuszył go, a następnie upozorował samo-bójstwo przez powieszenie. Na miejscu zostawił rurkę, którą zabito Borodzieca, nieszczęsną faktu-rę na pięć i pół miliona złotych oraz klucz od toalety. Wszystko to miało świadczyć, że pier-wszego zabójstwa dokonał właśnie Marecki.

— Ale kto, u licha, okazał się tym współnikiem magazyniera?

— Ktoś z dyrekcji. Nikt inny nie miałby zresztą możliwości dokonania, a następnie ukry-cia nadużyć gospodarczych na taką skalę.

— Nie myśli pan chyba o Krzepiku?! — Czubacki zerwał się z miejsca i zaczął nerwowo krążyć po gabinecie. — Wprawdzie to on podpisał fakturę, po ujawnieniu zabójstwa Borodzieca nieopatrznie zapytałem go o ten dokument, trudno mi jednak uwierzyć...

Do gabinetu wsunęła się Zdrojecka z dwiema filiżankami kawy i elegancką cukiernicą na plate-rowej tacy. Dyrektor urwał, czekając aż ponownie zostaną sami z porucznikiem, ale oficer postano-wił widać skorzystać z okazji, bo zatrzymał sekretarkę jeszcze na moment.

— Chciałbym zadać pani jedno pytanie — uśmiechnął się do dziewczyny zachęcająco. — To mało znaczący szczegół, pomógłby mi jednak w dopasowaniu do siebie kilku elementów...

— Słucham?

— Zapewne ma pani znakomitą pamięć.

— Pan mnie przecenia.

— Ale chyba pamięta pani swoje czynności służbowe z dnia, w którym zabito Borodzie-cza?

— Oczywiście.

— Przed końcem urzędowania telefonował od siebie z magazynu pan Marecki.

— Przypominam sobie — odparła bez zają-knięcia, lekko marszcząc brwi. — Miał jakąś

pilną sprawę do dyrektora Czubackiego. Niestety, szef był akurat bardzo zajęty.

— Myślę, że nawet przed rozmową z magazy-nierem wcale nie musiał pan dokładnie się zapo-znać z dokumentami, które pokazywał panu Borodziec! — głos Mazurka niespodziewanie stwardniał i zabrzmiał oskarżycielsko. — Wystar-czył panu jeden rzut oka, żeby zorientować się w powadze sytuacji.

— Co takiego? — dyrektor popatrzył na poru-cznika z niedowierzaniem. — Niby w czym miałem się zorientować?

— Przyznaję, że pomysł podsunięcia sfałszowa-nej faktury do podpisu dyrektorowi Krzepikowi był jak na amatora dość sprytny — rzeczowo zaznaczył porucznik. — Pański kolega żywił awersję do czytania podpisywanych dokumentów, ryzyko wpadki praktycznie więc nie istniało, a później jakiś mniej doświadczony funkcjonariusz milicji mógłby go zacząć podejrzewać o udział w zaborze pięciu i pół miliona. Nie pomyślał pan jednak, że gdyby Krzepik faktycznie zabił Marec-kiego, nigdy nie zostawiłby u niego w biurku kompromitującej faktury. Z kolei pragnąc prze-konać milicję, że to magazynier zabił Borodzieca, a następnie sam wymierzył sobie sprawiedliwość, musiałby pan uniknąć kilku kardynalnych błędów przy pozorowaniu samobójstwa.

— O Boże! — pobladła z przerażenia sekretar-ka oparła się o ścianę. — Więc to pan?

— Bzdura! — wychrypiął Czubacki. — Niby w jaki sposób mógłbym zabić Mareckiego, skoro od miesiąca nie byłem u niego w magazynie?

— A to dobre! — drwiąco roześmiał się funk-cjonariusz. — Dyrektor przedsiębiorstwa od miesiąca nie pofatygował się do podległego sobie magazynu. — Bez pośpiechu sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej plastikowe, przezroczyste pude-leczko z niedopałkiem papierosa. — Ciekawe, ilu tutejszych pracowników pali chesterfieldy?

— Co takiego? Pan kpi sobie ze mnie?!

— Przyznaję, że to bardzo dobre papierosy — beznamiętnie ciągnął daleki milicjant. — Już pod-czas naszej pierwszej rozmowy zrobił mi pan dużą frajdę poczęstunkiem. Tylko po diabła zostawił pan peta na miejscu swego drugiego zabójstwa? Bo założę się, że to pańska zguba — stuknął palcem w plastikowe pudeleczo. — Wątpliwości rozwieje z pewnością ekspertyza porównawcza, bo nasi specjaliści osiągają na ogół nie najgorsze wyniki, prowadząc badania identyfikacyjne śla-dów śliny...

Czubacki przez kilka sekund stał jak skamieniały. Słowa oficera musiały zrobić na nim wrażenie, bo nie był w stanie nawet zaprotestować. Wreszcie drgnął. Półprzymkniętymi powiekami rozejrzył się po gabinecie i niczym lunatyk ruszył do swojego biurka. Przystanął tuż obok i nagle kopnął je z niepohamowaną wściekłością.

— Willa, samochód, motorówka — wyliczył łamiącym się głosem. — Wszystko to teraz gównie warte... Nawet ten zafajdany, dyrektorski stołek.

— Idziemy! — zarządził Mazurek.

Czubacki bez słowa sprzeciwu otworzył drzwi

do sekretariatu. Przekroczyli próg, ale tu dyrektor zatrzymał się niezdeterminowany. Niemal w tym samym momencie hałaśliwie zabrzączał jeden z telefonów. Zdrojecka odruchowo sięgnęła do aparatu, podnosząc słuchawkę.

— Zakłady Elektrotechniczne, sekretariat dyrektora naczelnego — bąknęła cicho. — Tak... Rozumiem... Chwileczkę...

Powoli odwróciła się do porucznika, wskazując znacząco na Czubackiego.

— Niech pani powie, że szef jest zajęty — nie bez ironii poradził officer. — Bardzo zajęty...

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 0



W latach 1976-83 w serii „Ewa wzywa 07”
ukazały się:

- 85 Ignacy Seweryn Kryński — Szwedka
- 86 Stefan Kas — Śmierć krąży o zmroku
- 87 Andrzej Krzysztof Barcz — Madonna z Piaskowej Góry
- 88 Jerzy Lamewski — Rekontra
- 89 Marcin Labuśko — Odwołać poszukiwania
- 90 Zygmunt Zeydler Zborowski — Dwie lewe nogi
- 91 Jerzy Edgely — Tajemnica starego kościołka
- 92 Zygmunt Zeydler Zborowski — Kardynalski błąd
- 93 Danuta Frey — Ostrze noża
- 94 Janina Martyn — Rozłączył nas na zawsze
- 95 Zygmunt Zeydler Zborowski — Eliza nie zgadza się na rozwód
- 96 Marcin Labuśko — Pętla bieszczadzka
- 97 Tadeusz Żolnierowicz — Pająk rozplina sieci
- 98 Ryszard Smolaga — Ślad prowadzi do „Delfy”
- 99 Andrzej Krzysztof Barcz — Rendez-vous w hotelu „Royal”
- 100 Zygmunt Zeydler Zborowski — Major Downar zastawia pułapkę
- 101 Jan Kaprowski — Maskotka
- 102 Jerzy Edgely — As treffi
- 103 Maciej Zenon Bardawiec — Off side
- 104 Aleksander Gabrusiewicz — Pożyczyc narzeczoną i umrzeć
- 105 Krystyn Ziemiak — Uśmiech tortury
- 106 Danuta Frey — Hotel „Kormoran”
- 107 Jolanta Kalfińska — Magiczny papierdek
- 108 Helena Sekula — Osmiu gwardzistów w czarnych bermudach
- 109 Marek Rymuszczo — Sprawa osobista
- 110 Tadeusz Żolnierowicz — Cios za ciosem
- 111 Tadeusz Kwiatkowski — Turysta
- 112 Jan Jerzy Kaprowski — Śmierć w samolocie
- 113 Jerzy Romuald Miłcz — Wizyta u zmarłej
- 114 Barbara Gordon — Dolina nocy
- 115 Tadeusz Lembowicz — Śmierć pod Obidową
- 116 Zygmunt Zeydler Zborowski — Śmierć grabarza
- 117 Tadeusz Żolnierowicz — Od zmroku do zmroku
- 118 Kazimierz Tkacz — Nikt nie żałował ofiary
- 119 Aleksander Gabrusiewicz — Kwadratura trójkąta
- 120 Maciej Zenon Bardawiec — Jeździec na ogniu
- 121 Stanisław Heluski — Anonim
- 122 Jerzy Edgely — Siedem papierosów „Marzacho”
- 123 Andrzej Dziurawiec — Debiut
- 124 Marianna Szymusiat — Millionerka
- 125 Jerzy Siewierski — Opowieść o duchach i gorejącym sercu
- 126 Andrzej Dziurawiec — Inny czas
- 127 Zofia Kaczorowska — Szmaragd dla Agaty
- 128 Barbara Gordon — Błąd porucznika Kwaśnaka

ISBN 83-207-0600-9

Cena zł 30,—